№ 51 Warszawa, dnia 6 (18) Grudnia 1880 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3 na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr. 1530 (nowy 20).

O EMANCYPACYI KOBIET.

przez

G. Valbert.

W ostatnim numerze „Revue des mondes“, pomieszczony został artykuł godny powszechnej uwagi.

Żyjemy obecnie w wieku, powiada autor, w którym, z wielkiem umartwieniem umysłów statecznych lubiących wmawiać i w siebie i w drugich, że na świecie wszysko jest doskonałem i żadnych nie potrzebuje poprawek ani ulepszeń, zajęto się szczegółowem roztrząsaniem nietylko instytucyi publicznej ale nawet dogmatów religijnych i praw rządzących małżeństwem i własnością. Wprawdzie niewszystkie zmiany jakie chcianoby zaprowadzić w starem naszem społeczeństwie są szczęśliwe lub ponętne, niektóre wcale a wcale nie zakrawają na postęp a sposób w jaki je zalecają musi odstręczać nietylko uprzedzonych i przesądnych, ale nawet samych filozofów i ludzi z wykształconemi pojęciami i smakiem. Pomiędzy głosicielami i zwolennikami nowości są poważni myśliciele zasługujący aby je słuchać i badać dowodzenia, bo nawet z pomyłek ich ludzkość pewną korzyść wyciągnąć może. Drudzy mają jedynie na celu interes osobisty; wygłaszane wyrocznie wyraźnie dyktują im własne ich zachcenia, a pożądliwości nie bywają zwykle rozumniejsze od przesądów. Bywają znowu umysły niesforne i burzliwe, które czy to przekraczając granice logiki, czy zbyt ufne w własną mądrość, wszystkiemu co istnieje śmiertelną poprzysięgły nienawiść; ci twierdzą że najpierw trzeba wszystko obalić, a można śmiało mniemać, iż gdyby im działać dozwolono, gmach jakiby nam wznieśli kazałby nam żałować tego jaki obecnie posiadamy. Inni jeszcze są to trefnisie lub kuglarze, posługujący się kwestyami społecznemi jakby tarcicą sprężystą używaną do kuglarskich popisów, lub też szarlatani potrzebujący bardzo głośnego bębna, aby ściągnąć gawiedź do swych kramów.

Ze wszystkich kwestyi żywą budzących pokusę, aby o nich rozumować lub bredzić, najwięcej zapala zwolenników sprzeczek, kwestya zmian jakie należałoby zaprowadzić w wychowaniu i edukacyi kobiet, oraz doli na jaką skazało ją społeczeństwo. Zwolennicy niezłomni obecnego *statu quo* społecznego, muszą chcąc nie chcąc zgodzić się na to że istnieje *kwestya kobieca*; stanęła ona na porządku dziennym, obradują nad nią wszędzie, tak w Europie jak w Nowym Świecie i inaczej być nie może. Jak to powiedział znakomity myśliciel Stuart Mill, nie bez słusznych powodów zajmujący się losem i pragnący dobra kobiet „główną cechą teraźniejszego świata jest to właśnie, że człowiek nie rodzi się na stanowisku jakie następnie zajmie w życiu, że żadne więzy nie przykuwają go do niego nieodwołalnie, ale wolno mu jest korzystać ze swych zdolności i przyjaznych okoliczności aby zgotować sobie los jakiego pragnie.“ Dawniej społeczeństwo na innych opierało się podstawach; tradycye i zwyczaj stanowiły świętą niemal powagę. Urodzenie stanowiło o miejscu jakie każdy zajmować miał przez całe życie, i nie mógł go opuścić, bo przykuwało go doń prawo, aż do śmierci skazujące na nieruchomość. Skazaniec pragnący nie bezskutecznie apelować od tego wyroku, musiał chyba znajdować się w niezwykle pomyślnych okolicznościach, lub być obdarzonym niezwykłą żelazną wolą. Nadeszła rewolucya i wszystko to jednym zmieniła zamachem. Zniosła niezdolności prawne ograniczające i zagradzające maluczkim wybór zawodu; uruchomiła wole, życia i losy, upoważniając każdego aby na własne ryzyko i w pocie czoła torował sobie drogę na świecie

Same tylko kobiety wyłączone zostały od tego dobrodziejstwa, prosta rzecz że anomalia ta musi je zasmucać lub oburzać. Nie mogą zapomnieć i przebaczyć rewolucyi, że jedynie prawa mężczyzn zapewniła i ogłosiła. Dotąd zarówno grecka i rzymska starożytność. jakoteż społeczeństwo feodalne lub monarchiczne i demokracya tegoczesna jedno i to samo powtarzała im dotąd: „Prawdziwem waszem powołaniem jest macierzyństwo, bo dzieci nam są potrzebne a wy jedynie możecie wydawać je na świat, starajcie się więc poprzestać na tem.“ Słysząc to kobiety użalają się że przemawiają do nich w ten sposób jak plantatorowie Karoliny południowej przemawiali do murzynów: „Trzeba nam uprawiać cukier i bawełnę; otóż biali robić tego nie mogą, a wy nie chcielibyście gdyby wam nadano wolność, zatem trzeba koniecznie żebyście pozostali niewolnikami.“ „Jeśli prawdziwą jest nowa zasada stanowiąca podstawę naszego społeczeństwa, mówi w tym przedmiocie Stuart Mill, powinniśmy postępować konsekwentnie i nie wyrokować iż sam fakt że ktoś urodził się dziewczyną a nie chłopcem, może stanowić o losie istoty ludzkiej, zarówno jak fakt że urodził się czarnym lub białym. Obecnie w krajach więcej postępowych, ograniczenia prawne dotykające kobietę, są jedynym przykładem krzywdy i przeszkód przywiązanych do urodzenia.“

Podobna anomalia boleśnie dotyka kobiety, a to tem więcej że w krajach w których nie obowiązuje prawo salickie, nie są wykluczone od najwyższych i najtrudniejszych obowiązków—wolno im zasiąść na tronie i panować. Gdyby choć większość kobiet miała jakieś uzasadnione szanse że królewska korona ozdobi ich skronie, prawdopodobnie znosiłyby z poddaniem ciężką swą dolę, nadzieja wygrania kiedyś wielkiego losu, wiele trosk osłodzić może. Ale na nieszczęście liczba kobiet mogących sobie

pochlebiać że kiedyś złożą w ich dłonie wodze rządu i będą królować jest nader a nader ograniczona, a potem i zawód ten psuje się jakoś i co rok staje się więcej zależnym od cudzej łaski, co rok mniej pewnym i bezpiecznym. Większość kobiet rozsądnych, choć niezadowolnionych ze swej doli, nie zazdroszczą wcale losu królowej Wiktoryi nie marzą o cesarskiej koronie indyjskiej; poprzestają na domaganiu się od społeczeństwa aby zwiększyło nieco summę przysługującej im wolności, żądają aby im dopomagano w rozszerzeniu zakresu ich inteligencyi i otwarto przystęp do niektórych zawodów, które najniesłuszniej przywłaszczyła sobie chciwość i niesprawiedliwość męzka.

Inne, mniej rozsądne a krzykliwsze, nie poprzestają na tem. Domagają się praw politycznych; chcą zostać wyborcami a nawet i być wybieranemi, zasiadać w sądach przysięgłych i w izbach, i te tylko opłacać podatki, nad któremi będą radzić i zagłosują. Jest nawet garstka pragnąca możności ubiegania się o najwyższe w kraju dostojeństwa, i te, Praxagora Aristofanesa, wołają: „My jedne tylko potrafimy ocalić okręt rzeczypospolitej, nie płynący obecnie ani z żaglem ani z wiosłem. Lecz choć odkrycia i wynalazki nasze są nieocenione, najpewniej nie przyznają tego mężczyźni, zaślepieni swemi głupiemi przesądami."

W nowej, dość ciekawej książce „*Les femmes qui tuent et les femmes qui volent*" par Aleksandre Dumas, fils w której obok bystrych poglądów wytrawnego i przenikliwego spostrzegacza, spotykamy paradoxa żartobliwego dowcipnisia, czytamy „że w pośród swoich przyrodzonych i społecznych przekształceń, dwa są tylko stany do których kobieta rzeczywiście wzdycha, które dobrze pojmuje i używa ich w całej pełni: stan macierzyństwa i stan swobody. Dziewictwo, miłość, małżeństwo, to stany przejściowe, pośrednie bez ściśle oznaczonych danych, mające jedynie wartość wyczekującą i przygotowawczą." Sławny, zmarły niedawno dostojnik kościoła (JE. ks. biskup Dupanloup) w obec którego p. Dumas wygłosił swoje zdanie, któremu trudno nie przyznać trafności, rzekł mu: „Jest coś prawdy w tem co pan mówisz; z jakie sto dziewcząt którym wykładałem naukę religii, przynajmniej z ośmdziesiąt poszedłszy za mąż gdy odwiedziły mnie w miesiąc po ślubie, mówiły mi że żałują tego. Wierz mi Wasza Excelencya, odrzekł autor *Pół światka*, że po upływie miesiąca zamężcie nie wtajemnicza jeszcze kobiety w upragnione macierzyństwo, ani w wolność o której marzy."

Jeźli kobiety wzdychające za wolnością choć nie zawsze same wiedzą co przez nią rozumieją, zarzucają tegoczesnej demokracyi, że nie zastanawia się poważnie nad ich skargami i ubolewaniami, za to młode dziewczęta czujące że przeznaczeniem i powołaniem ich jest zostać kiedyś wzorowemi matkami rodzin, nie mogą się żalić że społeczeństwo zupełnie je zaniedbuje. Od lat kilku wszędzie niemal, nader troskliwie zajmują się ich wychowaniem i zapewnieniem im owej umiarkowanej emancypacyi umysłu jakiej się domagają. Wszędzie niemal otwierają dla nich kursa i wyższe szkoły. I we Francyi, pomimo iż kobietom pragnącym się kształcić, liczne do tego nastręczały się środki, jednak nie poprzestając na tem i nie czekając aż izby zagłosują projekt do prawa wniesiony przez p. Kamila Seé, niezadługo z prywatnej inicyatywy, otwarty zostanie zakład naukowy dla dziewcząt, pod nader trafną nazwą: *Szkoły pani de Sévigné*. Będzie to szkoła ośmio klasowa, w której kursa wykładane dziewczętom, odpowiadać będą wykładom dla chłopców w lyceach. Obok talentów salonowych i tegoczesnych języków, wykładane tam będą wszelkie nauki, a nawet język łaciński, który jednak nie będzie obowiązującym. Będzie to wyłącznie szkoła dla uczenic przychodnich; dotąd nie wiemy jaka metoda nauczania zastosowaną będzie w szkole pani de Sévigné; spodziewamy się jednak że nie będą przeciążać uczenic nadmiarem zadawanych tematów i pisaniny.

Lecz choćby programy i metody były jak najlepsze, zawsze mimo to znajdą się surowi krytycy, gorzko powstający na nauczanie w niższych i wyższych szkołach dla dziewcząt. No, powiedzą jedni, niechżeby się tam już uczyły tegoczesnych języków i trochę literatury, ale na cóż im się zdadzą fizyka i chemia?... Czyż się zawzięli aby je wszelkiego pozbawić powabu? Zgadzamy się najzupełniej że wdzięk i powab jest nieodzownie potrzebny kobiecie, że wszelkiemi siłami starać się trzeba zachęcać je aby go się nie pozbawiały, gdyż w przeciwnym razie świat nader smutnoby się przedstawiał. Ale wszakże pani de Sévigné posiadała nietylko język włoski i hiszpański ale i łaciński, który straszny, straszny pedant jej wykładał. Nawet i filozofia Karteziusza bynajmniej nie była jej obcą; prócz tego rozkoszowała się dialogami Platona i czytywała nieco ponure traktaty pobożnego Abbadie. Z większem zamiłowaniem czytywała rzeczy poważne: nie odstraszały ją pisma Ojców kościoła, a jeźli doskonale umiała na pamięć Tassa, z zamiłowaniem czytała Tacyta i Józefa, i to nie dość że czytała ale bardzo lubiła odczytywać kilkakrotnie, czem mało kto pochlubić się może. Utrzymywała ona bardzo zasadniczo „że nie nauka choćby najpoważniejsza, ale zajmowanie się jedynie małostkami największą krzywdę wyrządzają kobiecie, i że najpoważniejsze, najgłębsze poszukiwania prawdy, nie wyjałowią tak muzgu jak słuchanie oklepanych grzecznostek i rozprawianie o niczem." Można być pewnym że gdyby miała sposobność poznać Mariotte'a i prosić go aby jej wyłożył najzawilsze zagadnienia przyrody, nie byłoby to bynajmniej oddziałało ujemnie na jej wdzięk i powab. Kobieta ta zdolną była wszystko połknąć i strawić, nie tracąc pełnej uroku naturalności i swobody obejścia, żywej i pociągającej wesołości i tego ponętnego uśmiechu który przeżył wieki. Doprawdy wdzięk i powaby nie zdolne oprzeć się jakiej takiej znajomości fizyki, niewarte żalu.

Za wdziękiem i powabem zniknie niewinność, utrzymują znów bojaźliwi i sceptycy. Niejedna matka uważałaby że gubi córkę, pozwalając jej wtajemniczać się w tajniki botaniki; drży na samą myśl na jak straszne bezdroża niemoralna ta nauka mogłaby popchnąć młodą jej wyobraźnię; jakże mogłaby bez zarumienienia uczyć się tego, że jak ludzie tak i rośliny, dzielą się na dwa rodzaje męzki i żeński? Co do nas nie zdaje nam się, aby botanika była nauką tak szkodliwą i zgubną, a szczególniej żeby skromność i wstydliwość kobiety zasadzała się na ograniczeniu i nieświadomości. Minęły czasy owych ciągle rumieniących się bez powodu niewiniątek, bojących się niesłychanie wilka którego nigdy nie widziały, i które wiecznie trzymają się spódnicy matki lub guwernantki, z obawy aby ich nie pożarł. Za nic w świecie żadnej z nich nie pozwolonoby przestąpić próg jakiegoś muzeum, i jak najtroskliwiej usuwano z przed ich oczu książki, przeglądy, dzienniki — nawet poczciwy Florian bardzo był podejrzany, a mimo to jakież to bywały myśli tych niewiniątek!

Łatwo jest wykazywać nie bez słuszności pewne zboczenia niektórych Amerykanek i przedstawiać w karykaturze przesadzoną niekiedy swobodę ich obejścia, pojęć i wysłowienia, a jednak przed wielu to już laty Tocqueville wykazywał niekonsekwentność jaką popełniamy, dając kobietom wychowanie nieśmiałe, lękliwe, prawie klasztorne, jak kiedyś za czasów arystokracyi, a następnie rzucając je bez przewodnika i poparcia w wir rozprzężenia nieunikniony w społeczeństwie demokratycznem. Uważał on że Amerykanie zgodniejsi są sami z sobą. Poczytywał im za rzeczywistą zasługę iż umieli pojąć że w łonie demokracyi niepodobna jest zgnieść i stłumić zupełnie niezależności charakteru i zagłuszyć skłonności i upodobania, że w takich warunkach młodzież rozwija się daleko prędzej, zwyczaje się zmieniają, opinia publiczna bywa chwiejna i bezsilna, władza rodzicielska za słaba a mężowska zaprzeczana. Chwalił ich więc za to iż zrozumieli że w takim stanie rzeczy niebardzo można liczyć na ujęcie w karby namiętności kobiety, lepiej więc nauczyć ją aby sama umiała walczyć z niemi i pokrywać. „Amerykanie, mówi Tocqueville, zapragnęli silnie obwarować cnotę i uczciwość kobiety, choćby nawet z niejakim uszczerbkiem jej niewinności; a jakkolwiek są oni w ogóle bardzo religijni, jednak co do obrony cnoty kobiety nie poprzestali na samej religii, pragnęli jeszcze wcześniej uzbroić jej rozum."

Nie wiemy czy w szkole pani Sévigne wykładać będą botanikę, choć nietylko nic nie mielibyśmy przeciwko temu, ale nawet uważalibyśmy to za bardzo pożyteczne; ale to pewna że jeśli nauczą tam dziewczęta mówić o wielu rzeczach bez puszczania wodzy i zaniepakajania wyobraźni, jeśli zdołają wychować je na kobiety rozsądne a nie rozumujące, a i wyzwolić ze wszelkich niepotrzebnych przesądów, z zachowaniem wszystkich pożytecznych i chwalebnych skrupułów, wszyscy na tem skorzystają a najwięcej przyszli ich mężowie. A ponieważ w szkole Sévigné, będą same tylko przychodnie uczenice, niechże potrafią się z tem oswoić aby przebywały same, nie setki mil jak wiele Amerykanek ale ogrody lub ulice prowadzące z domu do szkoły, wcale nie myśląc o wilku a ten o nich. Byłby to bardzo pożądany postęp w naszych obyczajach, a to zdobycie tak szacownej i potrzebnej wolności, aż nadto pocieszyłoby nas po stracie choćby stu niewiniątek danego autoramentu. Niechby sobie nawet ten ród i zupełnie zaginął, nie będziemy za nim płakać.

Ostrożnie, powiedzą jeszcze zwolennicy zarzutów: fizyka i nauki przyrodzone nie samej tylko niewinności dziewcząt zagrażają, ale ich religii i wierze. Czyż chcecie porobić z nich niedowiarków? Nie zapominajcie że jeźli wolnomyśliciele są nieznośni, to wolnomyślicielki budzą niewysłowiony wstręt i odrazę.

Nie myślimy występować w obronie wolnych myślicielek; jednych z nich mędrzec się lęka, drugich unika, ale spodziewamy się że tak w istniejących jak mających powstać wyższych szkołach kobiecych wiara i przekonania będą szanowane. Nie godzi się nadużywać posiadanej władzy aby narzucać swoją wiarę lub swą niewiarę młodym umysłom nie uzbrojonym do podobnych sporów, a szczepienie bezwyznaniowości jest zbrodnią. Ale doprawdy nie pojmujemy dlaczego miałyby utracać wiarę i być skazane na bezbożność, kobiety wiedzące co to jest okwas azotu, rozumujące prawa ciążenia i znające główne okresy zaznaczone przez geologów w kształtowaniu się kuli ziemskiej?

Powiedzieliśmy wyżej, że nie warte żalu tak kruche powaby, które niweczy trochę fizyki; powiemy także co do religii, nie ma co opłakiwać wiary którą mogłaby zatrzéć w sercu nauka chemii i geologii, bo byłby to dowód że rzeczywiście nigdy jej tam nie było, ale tylko jakieś czcze formułki które przedstawiać ją miały.

Pod tym względem zupełnie zgadzamy się z autorem. Dziewczę w którego sercu rodzice zaszczepią

gruntowne uczucia religijne, nie poprzestając na tem że matka nauczyła ją pacierza i poleciła odmawiać go codziennie jak poleca codzienne nauczenie się lekcyi, a guwernantka lub nauczyciel, choćby nawet kapłan, wykłada co tydzień parę godzin religii, której zasad uczy się machinalnie, bez przejęcia i pojęć, ale starają się uczyć religii zarazem słowem i przykładem i wzbudzić w sercu to przekonanie, że mianowicie w ciężkich próbach i przejściach życiowych, sama tylko religia i wiara może stać się niezachwianą strażnicą cnoty i godności niewieściej, a takie dziewczę będzie mogło bezpiecznie słuchać wykładu nauk przyrodzonych, i religia pewnie nie zatrze się w jej sercu, bo stanowić będzie nieodłączną cząstkę jej istoty.

(d. n.)

Do kanadskiego dębu w Lipczanach. *)

Witaj gościu nowy na podolskiej ziemi!
Oby dobra dola zawsze ci służyła,
A gdy cień już rzucisz konarami swemi,
Oby ziemia nasza tobie matką była...

Wznoś ku niebu zawsze swój wierzchołek młody,
Dąż do góry śmiało, jak kanadskie drzewa,
Niech ci lata płyną, jak weselne gody,
Niech cię słońce nasze pieści i ogrzewa...

A gdy głową sięgniesz po nad nagie wzgórza,
I na spiekłą ziemię rzucisz cień, ochłodę,
Niech cię piorun nie tknie, niech cię mija burza
A los dobry zsyła ciszę i pogodę...

Później niegdyś, później, w jasną noc majową,
Gdy prawnuków naszych szelest twój rozczuli,
Szepnij im o przodkach powieść zagrobową,
Jak tu niegdyś żyli i co w sercu czuli...

Dr. Rudolf Rożniatowski.

WALET PIKOWY.

NOWELLA

Salvatora Fariny.

I.

Donato ma lat dwadzieścia, jest przystojnym brunetem, umie wybornie obchodzić się ze szpadą i pistoletem, jeździ konno doskonale, a na welocypedzie jak strzała przebiega ulice Medyolanu, co wszakże nie przeszkadza mu chodzić z wdziękiem bez wykoszlawiania nóg, jak to zwykli czynić ci, co się uważają za mistrzów w sztuce jazdy konnej.

Pomimo próżniaczej swobody, której oprzeć się nie podobna w mieście gdzie od pewnego czasu przebywa, pozostał dobrym synem i kochającym bratem. Był z wielkiem uszanowaniem dla siwych włosów swojego starego ojca, a śliczną twarzyczkę siostry uważał za najpiękniejszą w świecie. To też starego Norberta i Mariuczii mieszały się niekiedy westchnienia z łagodnym wietrzykiem, który ochładzał gorący wieczór lipcowy. Wszak Donato miał raz jeszcze opuścić miasteczko Romano, powrócić pod rygor szkoły aplikacyjnej i poprzestać jedynie na niewinnych rozrywkach welocipedowego klubu w Medyolanie.

Ale nietylko sam wyjazd zasmucał te poczciwe dusze. Czuła ich miłość dostrzegła, że Donato od trzech dni, jak bawił w mieście melancholiczniej szym był niż zwykle.

Wprawdzie uśmiechał się czasem, ale uśmiechem przelotnym, co niknął zaraz nie zostawiając na ustach żadnego śladu wesołości. Niekiedy zaczął opowiadać jaką przyjemną fraszkę, wtedy bladą jego twarz ożywiał rumieniec, a oczy iskry rzucały, lecz nagle przerywał opowiadanie i chronił się do swojego pokoju, lub biegł w pole.

Nie umawiając się poprzednio Mariuczia i ojciec śledzili go, każde ze swojej strony, i zdarzało się nieraz, iż oboje schodzili się przy zadumanym Donacie; wtedy ojciec zatrzymywał się, jakby go zaciekawiał wielce wazon z kwiatami, a Mariuczia pochylała się nad jaką różą i nielitościwie ją oskubywała, aby dać czas młodzieńcowi do ocknięcia się i ułożenia swej twarzy.

Dobra siostrzyczka, mająca więcej śmiałości, a mniej naturalnie skrupułów, zeszła go raz z nienacka jak siedział zadumany ukrywszy twarz w dłoniach. Stała przez minutę, powstrzymawszy oddech gdy serce jej żal ściskał. Wybuchła wreszcie płaczem, który zmusił Donata do podniesienia twarzy łzami zalanej.

Mariuczia pobiegła do niego i w uściskach zmieszali łzy swoje. Dziewczyna wzniosła na brata wzrok pytający.

Donato jakby tego nie widział, zaczął prostować dalię, którą wiatr pochylił; potem wszystko w żart obrócił, dowcipkował, śmiał się tak iż i Mariuczia się rozśmiała, lecz gdy w końcu spojrzał w jej duże oczy, wyczytał w niej pierwsze pytanie:

— Dlaczegoś płakał?

— Ot! głupiec jestem—rzekł wreszcie—wstydzę się sam siebie. Płakałem, ponieważ lękam się egzaminów. Przyznam ci się otwarcie, że klub welocypedowy, towarzysze i zabawy różne trochę mi czasu zabrały, zaniedbałem się w mechanice i architekturze. Niegodziwe miałem karty ostatnim razem..

A potem, jakby mu nagle stanął przed oczami obraz trosk jego, zaciął się i nie rzekł już ani słowa.

Umilkła również i Mariuczia, bo postrzegła zdala nadchodzącego ojca. A miała ochotę powiedzieć bratu, że już nieraz składał egzamina, a nie martwił się tyle, i że opuszczonych dziesięć czy dwadzieścia lekcyi mechaniki nie odbierają wszelkiej nadziei, aby nie miał zostać inżynierem, i to jednym z lepszych. Chciała to powiedzieć, ale nie powiedziała, ponieważ postrzegła po raz pierwszy w życiu, że Donato, jej ukochany Donato *kłamał*. Była prawie pewną, że cała ta historya o egzaminach była zmyśleniem dla wprowadzenia w błąd łatwowiernej siostry.

Za zbliżeniem się ojca Donato przybrał minę wesołą, błysnął kilku rakietami dobrego humoru... potem znów sposępniał. A nie chcąc się narażać na badanie czułej troskliwości, którą wyrażała twarz ojca, wykręcił się na piętach i odszedł z głową zwieszoną

Stary ojciec i Mariuczia zostali sami, spoglądając na wierzchołki Alp ozłoconych promieniami zachodzącego słońca, na rozległe płaszczyzny doliny Lambro przybierającej barwę ciemno zieloną. Tajemny niepokój dręczył ich serca.

— Piękny wieczór, rzekł Norbert.

— Bardzo piękny, odrzekła Mariuczia.

Ojciec pomyślał sobie, że Donato zwierzył się siostrze, a Mariuczia mówiła sobie w duchu, że ojciec zapewne wie, co zachmurzyło życie Donata w Medyolanie. I zamilkli oboje.

Promienie słoneczne okrążają najwyższy cepel góry Rosegone, a potem nikną w przestrzeni lazurowej; cienie coraz bardziej się zgęszczają, odgłosy dzwonów wiejskich odpowiadają sobie zdaleka, a ciężkie skrzydło nietoperza przelata jak czarna plama na bladem tle zmroku.

— Czy Donato jutro odjeżdża? zapytała dziewczyna.

— Tak, jutro.

— Biedny Donato! martwi się o swoje egzamina.

— Otrzymałem noty profesorów, z których się pokazuje, że tak dalece nie ma się czego lękać, ponieważ jest zdolny i pilny.

— Nawet w mechanice?

— Tak, nawet w mechanice.

Mariuczia spodziewała się tej odpowiedzi. Nie pytała o więcej, a ojciec, który chciał się czegoś od córki dowiedzieć, naturalnie nie obudzając w niej żadnego podejrzenia, nie wiedział prawdziwie, jak się wziąć do tego.

— Czy Donato żadnych ci zwierzeń nie robił? zapytał wreszcie; biorąc córkę pod rękę, aby wrócić do miasta.

— Żadnych.

Chociaż Mariuczię nikt nie nauczył umiejętności, jaką posiadają skończonych lat szesnaście, odgadła ją przez intuicyą i powiedziała sobie:

— Myślałam ja i o tem, ale gdyby był zakochany, toby nie tail się przede mną.

W godzinę później Mariuczia i stary Norbert pocałunkiem życzyli sobie dobrej nocy. Każde z nich musiało przechodzić koło zamkniętych drzwi pokoju Donata.

— Dobra noc!

— Dobra noc!

Na srebrny głos dziewczęcia, na drżący głos starca odpowiedział Donato i biegnie uściskać ich w progu. Potem wraca się i staje na środku pokoju, a kiedy ucichły kroki ojca i siostry, kiedy dolatywał go tylko skrzeczący chór żab i szmery owadów nocnych, zasiadł przy oknie i wsparłszy głowę na rękach zatopił swój wzrok w otchłani ciemnej nocy.

II.

Noc ciema. Niebo i ziemię połączyła nieprzeniknona zasłona, na tle której jeszcze czarniejsze oddzielają się przechodnie chmury, morwy i kasztany, podobne do widziadeł olbrzymich. Wiatr szemrząc ścicha porusza lekko zawieszonemi na nich kołyskami owadów i ptaków.

O czem myśli Donato ukrywszy w dłoniach swoje rozpalone czoło?

On nie myśli, on marzy. Zdaje mu się, że jest chłopczykiem dziesięcioletnim, lubi grać w piłkę i w obrączki (cerceau); nauczył się wierszyków i powtarza je siedząc na kolanach ojca; spina się na palcach, aby zobaczyć swoją siostrzyczkę, leżącą w kolebce; nie wiedząc jeszcze, jak świat wygląda i wcale się nie przestrasza niewiadomemi, jakie mu gotuje algebra życia.

Przyspiesza życzeń swych przyszłość, niecierpliwi go powolna droga, która do niej prowadzi; ma ideał przed sobą dwadzieścia lat. Jakiż urok w tych dwóch wyrazach!

Oto już podrósł, oddaje się nauce. Powiedzian

*) Lipczany wieś nad brzegiem Dniestru w Mohylowskim powiecie, piękna miejscowość własność p. Zygmunta Zaleskiego.

mu, że ojciec jego niebogaty, pracuje na życie, i nieszczędzi sił swoich, chociaż jest już prawie starcem, byle dać mu wychowanie i zebrać jaki taki posażek dla Mariuczii. O tak. trzeba pamiętać o Mariuczii. Teraz Donato zna już algebrę, geometrę, Mariuczia będzie miała posag.

Przyszedł dzień szczęśliwy. Donato dowiaduje się, że nie są bardzo ubodzy, ponieważ mają niewielką posiadłość ziemską, gdzie teraz ojciec, gdy mu włosy zbielały, pojedzie wypoczywać, zabierając z sobą Mariuczię. Donato zostanie w Medyolanie, aby sobie zapewnić przyszłość.

Przyrzekł krewnym, a bardziej samemu sobie, iż będzie pilnie przykładał się do nauk. Kiedy jego towarzysze schodzą się na hulanki lub uganiają się za pięknemi dziewczętami, on nie zna ani wina ani kosztownych miłostek. Jest wszakże jedna rozrywka, która ma dla niego urok szczególniejszy, oto lubi pędem strzały przebiegać na welocypedzie ulice Medyolanu lub hasać na dzielnym koniu, czyniąc wycieczki w zamiejskie okolice. Może nie bez racyi utrzymuję, że w dwudziestym roku sama nauka mechaniki nie wystarcza do szczęścia. Wprawdzie mógłby odkładać na posag dla Mariuczii pieniądze, któreby wydał na rozrywki, ale bądź co bądź, miał lat dwadzieścia, a w tym wieku, powiedźcie, czy mechanika może nas całych pochłonąć? Zresztą był dopiero studentem; a cóż, jak zostanie inżynierem!

Jakże to bogata kopalnia, z której wydobywają się marzenia o przyszłości, piękne zamki nadpowietrzne, w którym nie zbywa ani na kasztelanie białowłosym, ani na cudnej kasztelance. Lecz złośliwy demon dmuchnął na te rozkoszne widzenia i zamek znika, a kasztelan i kasztelanka padają na ziemię biedniejsi, niżeli wprzód byli. Jedna chwila rozwiała te urocze sny miłości rodzinnej, jedna chwila zapomnienia się wzięła górę nad uczucia dwudziestu dwóch lat. Oto, zielonem suknem pokryty stół, na nim ogromne kupy złota, że aż się dostaje zawrotu głowy; pierwsza stawka uśmiecha się nadzieją, gdy ostatnia nabawia gorączki i wnet poziome uczucia wkradają się do serca, tysiące złych myśli przychodzi do głowy, ogarnia nas gniew wściekły przeciw wygrywającemu; przeciw samemu sobie, przeciw losowi, przeciw Bogu... w końcu rozpacz, gdy trzeba oddać pożyczone pieniądze.

„Przegrałem, i znów przegrałem, jak zawsze!“

Donato podnosi głowę i wpatruje się w ciemności, gdzieniegdzie przerywane parabolami, jakie opisują światełka na ziemi a błędne gwiazdy na niebie. Słucha jak złorzeczą mu szmery drzew morwowych wtórujące akacyom przy płocie i wiązom na łące. Tysiące obrazów przesuwa mu się przed oczami, z początku wyraźnych, potem coraz bardziej pomieszanych, zamglonych, nie wie sam czy śpi, czy śni.

Świt przynosi dobre postanowienia. Donato powziął też postanowienie, wstaje, biegnie do pokoju ojca, ze drżeniem puka do drzwi, wchodzi, rzuca się w ramiona starca i białe jego włosy zlewa gorzkiemi łzami.

— Ojcze, już nie jestem godnym ciebie! Grałem przegrałem. Modliłem się do Boga, aby śmierć zesłał na mnie.

Ostatnie te wyrazy złagodziły w sercu ojca wrażenie pierwszych. Biedny starzec odpowiada na to pocałunkiem, nie wyrzekłszy i słówka nagany. Spłakanego syna przyciska do piersi, i rzecze tym łagodnym głosem, który przenika serce winowajcy mocniej, niż najsurowsze napomnienia:

— Ile?

— Sześć tysięcy franków.

Ojciec milczy, a Donato pogrążony w rozpaczy ukrywa głowę w dłoniach.

— Sześć tysięcy franków! rzecze w końcu Norbert, to wiele dla nas, co nie jesteśmy bogaci; ale przestańże płakać. Łzy tu nic nie pomogą. Sprzedamy część willi i ogródek warzywny. Właśnie prosił mnie o niego sąsiad, więc mu się wygodzi. Mariuczia poczeka jeszcze na męża lat kilka aż ty będziesz mógł zapracować tyle, aby jej posag zwrócić. Zresztą, jeśli będzie konieczna potrzeba, powrócę do Medyolanu. Postaram się o urząd, który dawniej zajmowałem. Czuję się jeszcze dość silnym i rześkim.

Ah! Donato nie może znieść tych pieszczot bolesnych, tych czułych słów zacnego ojca, który błąd syna uważa jedynie za niełaskę losu. Zrywa się, staje na nogach, ociera twarz zalaną łzami i ogląda się w około siebie... Ah, to może i lepiej... wszystko to śniło mi się tylko. Sam jest w pokoju wsparty o okno, przez które widać posępną okolicę wiejską; czarne widziadła w dolinie wstrząsają głowami; żaby wciąż wygrywają swój skrzekliwy koncert, który przerywają od czasu do czasu, aby słuchać innego chóru odpowiadającego im w oddaleniu

Myśli wciąż o tem od dni kilku i to bez ustanku. I po co jeszcze zajmować się tą myślą? Nigdy nie zdobędzie się na tyle odwagi, aby sercu ojca miał zadać cios taki... Lepiej umrzeć!

Donato wychodzi z pokoju słucha na korytarzu, cisza wszędzie, wraca się, wydobywa rewolwer, spogląda na niego, potem słucha.. Najmniejszy szmer nie dolatuje go. Strach go ogarnia, lęka się samego siebie, ucicha, schodzi ze schodów, i z bronią w ręku rzuca się w aleę wiodącą do lasku. Żaby uciszają się gdy przechodzi, potem znów rozpoczynają swoje skrzekliwe zwrotki, jakby szydziły z niego. Wciąż biegnie dalej, potrząsając bronią, aż wreszcie pada na ziemię i zalewa się łzami.

Ptaszek, którego przestraszył, odlata, aby gdzieindziej spocząć, potem wszystko umilkło, nawet szydercze odgłosy nocy, a na szczytach gór ukazała się blado złotawa smuga... dniało.

Jaskułka która najraniej się zerwała leci jak strzała i szczebiotem swoim budzi sąsiedztwo, odpowiada jej inna jaskułka, potem znów inna, aż za chwilę powietrze wypełnia się radosnym śpiewem i szelestem skrzydeł. Donato patrzy na te zwinne i wesołe stworzenia, latające po nad jego głową; z każdego krzaczka, z każdej bryłki ziemi wznoszą się ku niebu setki tych wesołych stworzonek; na wierzchołkach drzew zawiązuje się wielce ożywiona rozmowa, każda prawie gałązka ugina się pod ciężarem tego skaczącego i gwarzącego tłumu, gdy tymczasem w oddaleniu koguty wiejskie zwracają sobie swoje ostre zwrotki.

Donato zapomina się, patrzy na ten ruch, przysłuchuje się tej wrzawie. Światło rozprasza wszystkie straszne widziadła, życie wszelkie się budzi. Góry, które zdaje się, jakby w tej chwili wzniosły się z płaszczyzny, dęby, akacye, krzaki, każde ździebełko trawy stroją się w najpiękniejsze perły rosy na uczczenie słońca. Zwolna jasność się zwiększa i przenika lasek, szpalery i zarośla; potem słońce wysyła cztery promienie z po za gór.

Donato rozgląda się; znajduje się w leśnej polance, niedaleko skromnego źródełka, do którego niegdyś przychodził, gdy był spragnionym; w koło otacza go wieniec drzew tworzących pewien rodzaj ogrodzenia: niedaleko ścieżki jest mrowisko, które promień słońca zbudził do codziennej nieustannej pracy; kret, który dłużej niż zwykle, bawił się na powierzchni ziemi, przesuwa się po ścieżce, podobny do czarnej kuli, i zagłębia się w swoim maleńkim labiryncie; świerszcze zasypiają a koniki polne budzą się; na murawie, między ździebełkami trawy, szum, brzęczenie tysiąca istot rozpoczynających znów swoje wesołe życie. Kwiatki cieszące się zaledwie jednodniowym bytem stroją się w najżywsze kolory; zdala słychać ryczenie wołów i głos wieśniaka idącego gościńcem, który ciągnie się wzdłuż lasku, a potem turkot kół od wozu na zwirówce.

Donatowi się zdało, że stał się znów dzieckiem. Wtedy, jakże mu było miłem życie, jakże śmierć go przestraszała, kiedy wszystkie jego myśli biegły w przyszłość, kiedy każde uczucie rozkosz mu sprawiało, a teraz...

Spojrzał na broń, która obok niego leżała... Zabić się... mając dwadzieścia dwa lata, kiedy nic jeszcze nie widział na świecie, kiedy serce nie zadrżało jeszcze pod tysiącem wzruszeń, kiedy ma krew wrzącą, muskuły stalowe, głowę swobodną i dumną i wiarę głębszą, niż kiedykolwiek, w ludzi i w swoją przyszłość!

Wszelako czuje, że nie będzie miał siły wyspowiadać się ojcu, i pozostać świadkiem nieczułym ruiny, którą sam spowodował. W tej słabości jest wprawdzie pewne samolubstwo, lecz zarazem poczucie sprawiedliwości i dumy. Niech ojciec się dowie niech dowie się Mariuczia, że Donato miał serce mężczyzny, że jego żal był szczery, chciał odpokutować... O tak, trzeba umrzeć!

Chwycił za broń ręką drżącą... Strzał padł, a po nim wykrzyk nastąpił. Donato wystrzelił mimowolnie, a teraz przejęty trwogą trzyma rewolwer zdala od siebie. Zdawało mu się przez chwilę, że sam los podjął się dopełnienia czynu sprawiedliwości, którego on nie śmiał wykonać; dreszcz wstrząsnął nim całym, obejrzał się w koło, i maż wyznać przed samym sobą? Bał się śmierci! Sądził iż gdyby spełnił przeznaczenie, wszystko już byłoby się skończyło, a teraz znów pokochał życie. Zrywa się, biegnie na dół przez lasek, włosy ma poczochrane, rewolwer ściska w pięści.

III.

— Panie Donato!

Taki za uciekającym dał się słyszeć głos, głos świeży, dźwięczny i wesoły. Donato zatrzymuje się i odwraca. Na ścieżce stało dziewczę smagłe, o twarzyczce południowej Madonny; bujny włos ciemny, rysy zaokrąglone, opromienione blaskiem tryskającem z dużych czarnych oczu. Dziewczyna się zmieszała, nie wiedząc jak sobie począć, na ustach miała uśmiech, w oczach niepokój. Słyszała wystrzał z rewolweru, i zaraz potem ujrzała młodzieńca biegnącego ścieżką, broń ściskał w ręku, włosy miał najeżone. Nie wiedziała co o tem myśleć.

Donato także poznał dziewicę, była to Konstancya. Lecz sądząc, że jej promieniste oczy przeniknęły go do głębi duszy, i czując że jego ręka trzyma jeszcze rewolwer, nie śmie zbliżyć się do Konstancyi i opuszcza ręce na dół. Wtedy dziewczyna, nie wahając się dłużej, usiłuje spojrzeć w oczy swojego towarzysza podróży, który zadyszany jeszcze, wygląda jak gamoń wiejski na wpół ubrany, i wprost zmierza do Donata.

— Jeśli mi pan nic złego nie zrobisz tą brzydką bronią, którą trzymasz w ręku, to się zbliżę do ciebie, rzekła głosem wesołym. Wnet stanęła przy nim, i patrząc ze współczuciem na jego twarz pobladłą, na oczy od łez i bezsenności zaczerwienione, na zniechęcenie i rozpacz malujące się w całej jego postaci, usiłuje odgadnąć, jaki rodzaj nieszczęścia młodzieniec pragnie ukryć przed nią, Donato zaledwie odwrócił głowę, stara się uśmiechnąć, i wysi-

lając się na grzeczności, od której aż przykro się robi. odpowiada.

— Dzień dobry, jak się pani miewasz?

Konstancya w obiedwie dłonie chwyta rękę, którą jej podaje, zatrzymuje ją i znów bada młodzieńca niespokojnym wzrokiem.

Donato waha się jeszcze. Czuje potrzebę ulżenia sercu przez zupełne zwierzenie się, jakiś instynkt nagli go aby się wyspowiadał, lecz jednocześnie inny silniejszy popęd wstrzymuje mu słowa na ustach. Walka była krótką. Spojrzenia dziewczyny tak pełne współczucia rozdzierają zasłonę. Donato odkrywa jej swoje nieszczęście, swój zamiar i rozpacz swoją ogromną.

— Niebo samo zsyła cię pani, rzekł ze drżeniem. Sam nie wiem dla czego nagle uczułem potrzebę wypowiedzenia ci tego, co się dzieje w mojej duszy, chociaż wiem dobrze, iż przed nikim w świecie nie uczyniłbym tego zwierzenia, jakie przed tobą uczyniłem.

— Tak niebo mnie zsyła, odrzekła Konstancya łagodnym ale smutnym głosem; niebo też złamało na gościńcu dyszel od naszego powozu, co zmusiło wuja wrócić się do najbliższej wioski dla naprawienia szkody, niebo również natchnęło mnie myślą, aby udać się tym laskiem dla oszczędzenia sobie dwóch trzecich części drogi; niebo także sprawiło, że przybywam właśnie dziś i o tej godzinie, gdy Mariuczia i pan Robert spodziewają się mnie dopiero jutro. Tak niebo samo kierowało wszystkiemi temi drobnemi wypadkami, aby zapobiedz sto razy większemu nieszczęściu.

Donato słucha wyrazów dziewczęcia, jak najpiękniejszej muzyki, spogląda na jej twarz piękną ożywioną współczuciem i mimowolnie chowa broń za siebie. Teraz kiedy wszystko wyznał, czuje że mu to ulżyło zapomina prawie o swej rozpaczy, bawi go wesoły śpiew ptasząt, zachwyca świetlany urok poranku. Zdaje mu się, że jego udręczenia były tylko zmorą naszą. Wśród uśmiechniętej przyrody mając przed sobą śliczną twarzyczkę i piękne zachwycające oczy, doznaje jakiegoś nowego uczucia, jakby dusza jego święciła jakąś uroczystość promienną. Wszystkie jej siły szepczą mu jakieś słówka, to samo, które powtarzają wesołe ptaszęta, drżące odbłyski rosy i łagodny powiew wietrzyka. kochaj ją!

Jeśli te uczucia nie odbijają się na twarzy Donata, to dla czego Konstancya wysuwa rękę, którą trzyma jeszcze młodzieniec, a kiedy pragnie znów ją ująć, dlaczego ona się uśmiecha?

— Posłuchaj, rzekła Konstancya głosem stanowczym, który jej dodaje jeszcze więcej wdzięku, posłuchaj. Pragnę twojego dobra ponieważ, że tak powiem, wychowaliśmy się razem. Jakże więc panu się zdaje, czy mam prawo zajmować się twojemi troskami?

Oczami, miną, drżącemi ustami Donato odpowiada:

— Tak, tak, lecz słowa więcej nie może powiedzieć.

— A więc, mówiła dalej dziewczyna, mam prawo myśléć o środkach zaradczych przeciwko złemu.

— Nie ma żadnego, wyszeptał Donato, z wyjątkiem jednego.

— Jakiego? powiedz, rzekła Konstancya.

Lecz młodzieniec się miesza, rumieni, potem blednie i spuszcza oczy, powtarzając sam sobie:

— Nie ma żadnego...

— Kiedy tak, to pozwól sobie powiedzieć, że ja znajduję środek...

— Jaki?

— Najprostszy w świecie: zapłacić sześć tysięcy franków we właściwym czasie, nie powiedziawszy nic ojcu, pracować potem pilnie i odzyskać przegrane pieniądze, a nawet więcej jeszcze.

— Tak, ale zkąd wziąć tę summę?

— Można pożyczyć.

— Termin wypłaty wekslu za tydzień.

— Jeśli za tydzień trzeba mieć sześć tysięcy franków, to je znajdziemy. Jestem bogatą, tak wszyscy mówią. Dawno straciłam ojca, moja biedna matka zmarła zeszłego roku, mam tylko wuja, który jest moim opiekunem. Jutro przybywa do Romano. Powiem mu wszystko. Wymogę na nim przysięgę, że zachowa tajemnicę przed panem Robertem.

Wdzięczność i miłość dają się czytać w oczach Donata, ale powstrzymuje go skrupuł.

— To nie podobna. nie mogę tego przyjąć.

— Bo duma nie pozwala.

— Taka ofiara.

— Bynajmniej. Mój wuj należy do tego rodzaju wujów, że cudów dokazać może aby zadowolić swoją siostrzenicę. On mi nie odmówi; przysięgnie na wszystko, co zechcę; przedsięweźmie wszelkie środki ostrożności dla zabezpieczenia moich pieniędzy, pójdzie nawet do notaryusza, jeśli będzie potrzeba, jednem słowem ureguluje wszystko jak należy. Nie znasz mojego wuja, gdyż dopiero przed sześciu miesiącami kupił przędzalnią w tych stronach, gdybyś go znał, tobyś powiedział, że cała rzecz już załatwiona.

Tysiące obrazów przesuwało się po umyśle Donata; nie wie co odpowiedzieć, i zatapia swój wzrok w jasnem spojrzeniu dziewicy, która się uśmiecha do niego, niczego się nie domyślając.

— Nie mówmy już o tem, rzekła, to rzecz skończona, i podając Donatowi rękę którą ten melancholicznie bierze i wzdychając do ust przyciska.

Konstancya pozwala na to, potrząsając głową.

— A teraz oddaj mi rewolwer, rzekła tonem łagodnej powagi.

Obraca się koło niego i z wielką ostrożnością zabiera mu broń, potem zapytuje młodzieńca:

— Jak się wystrzela rewolwer?

Donato przysuwa się do niej i chce wziąć broń, lecz dziewczyna lewą ręką usuwa go, wyciąga rękę prawą, całem ciałem w tył się cofa i zamknąwszy oczy odważnie za cyngiel pociąga. Pada strzał jeden po drugim, a za każdym z nich Konstancya odsuwa się, zaciska usta, mruga oczami i śmieje się. Kiedy rewolwer całkowicie wystrzelony został oddaje go młodzieńcowi, potem oboje biorą się pod rękę.

Z początku szli nic do siebie nie mówiąc, lecz przy wyjściu z lasku dziewczyna zatrzymuje się i odzywa się do Donata:

— Pan jeszcześ nie przyjął mojej ofiary, zgódźmy się raz, aby już o tem nie mówić.

Nasz student matematyki zdobywa się na wymowę; zaczyna frezes, który doprowadziwszy zaledwie do połowy, przerywa...

— Wiele zrobiłaś pani dla mnie, rzekł pomieszany, szedłem na śmierć, a powołałaś mnie do życia, zrób jeszcze coś dla mnie...

— Cóż takiego? zapytała Konstancya z uśmiechem.

— Pozwól mi złożyć pocałunek na czole.

A gdy Konstancya zapłoniła się, dodał:

— Nie powinnaś odmówić pierwszemu życzeniu tego, któregoś wskrzesiła.

Lecz wiejskie pacholę, które jej towarzyszyło i teraz zatrzymało, ciekawie przypatrywało się tej scenie.

— Chodź tu, zawołał na nie Donato.

Dziecko się zbliżyło powłócząc nogą.

— Zamknij oczy i zgadnij, jaki pieniądz trzymam w ręku.

Chłopiec jest pewnym, że zgadnie i uczciwie chce pozyskać pieniądz. Wtedy uśmiechnięta Konstancya podaje Donatowi czoło, na którem ten składa długi ognisty pocałunek.

— Grosz, odpowiada pacholę.

A gdy mu teraz nie odpowiedziano, poprawił się:

— Dwa grosze.

Tym razem odgadł i w nagrodę, w trójnasób dostał więcej. Jakże się dzieciak ucieszył. Schwycił swój skarb i co sił pobiegł przez lasek, gdy Konstancya i Donato wziąwszy się pod ręce, rozmarzeni i zadumani, postępowali aleą wiodącą do willi Romano.

(d. c. n.)

Przegląd literacki.

Biblioteka Warszawska i *Ateneum* II-gi kwartał 1880 r. (Kwiecień, Maj i Czerwiec).

(Dokończenie).

O małpim rodowodzie człowieka i o tem że należy zawsze do zwierząt, pełno rzekomych dowodów na każdej stronicy; fałszem jest jednak co prawi autor (nie znający pisarzy klasycznych greckich) jakoby starożytni filozofowie greccy niezbyt wyróżniali człowieka od zwierząt; nieprawdą jest również, jakoby cynicy (i to nie w *następnym* wieku po Pytagorasie, lecz chyba we 2 wieki) *obrali sobie psa za ideał*: to tylko tak ich pogardliwie nazywali ludzie, a głównie takie miano nadawano słynnemu Dyogenesowi (Czerwiec str. 480).

Zabawne jest to co autor mówi o zakazie pożywania mięsa pewnych zwierząt w księgach Mojżesza. A mianowicie mniema p. Ochorowicz że zwierzętami czystemi, których mięso było dozwolonem na pokarm, były właściwie „te, które dawniej czczono jako dobre,“ nieczystemi zaś, których jeść nie było wolno, były „te których dawniej obawiano się jako złych, lub które czcili wrogowie Izraela“ (Czerwiec str. 481). W tem spostrzeżeniu rzekomo głębokiem i oryginalnem, wszystko jest błędne i nielogiczne. Szczególny bo to doprawdy objaw *czci*—zjadanie czczonych zwierząt; wypadałoby spodziewać się raczej przeciwnie, że tych właśnie zwierząt jeść nie było wolno, które były czczone. Jakoż istotnie tak bywa: widzimy to np. w Indyach, gdzie czczą krowę, i dla tego mięsa jej nie używają. Z drugiej strony, wół był czczony przez Egipcyan, *wrogów Izraela*, (Apis), a jednak żydzi jedzą mięso wołowe: tu nawet znowu wbrew logice autora, mniemalibyśmy że właśnie raczej wypadało zjadać zwierzęta *czczone przez wrogów* niżeli je szanować.

Dziwną doprawdy jest rzeczą że p. Ochorowicz, który podobno jest naturalistą, nie wie że dozwolonem na pokarm było po prostu mięso zwierząt *roślinożernych*, a wzbronionem—mięso zwierząt *drapieżnych*, zapewne nie instynktowo i nie ze względu na cześć zwierząt, ale świadomie i z pobudek hygienicznych gdyż mięsa zwierząt drapieżnych, jako twardego, cuchnącego i niezdrowego, żaden naród cokolwiek cywilizowany nie używał i nie używa na pokarm, nawet bez zakazu religijnego.

Wspominając o istniejącym u niektórych *ludów dzikich* (ulubiona *powaga* dla uczonych tej szkoły) zwyczaju *przepraszania* zabitych zwierząt, autor widzi w nim obawę zemsty i *uznanie wyższości zwierzęcia* (Czerwiec str. 485); nie przyszło mu zaś na

myśl, że może to *popęd dobrego serca.* Widocznie takich *mrzonek idealistycznych* jak *dobroć serca* nauka pozytywna nie uznaje.

Już to baśnie i brednie ludów dzikich niezmiernie wielką mają wagę dla *naukowych* wywodów szkoły pozytywnej, a im te ludy są dziksze, a baśnie potworniejsze, tém więcej znajdują łaski w oczach pozytywistów, byle tylko sprzyjały ich przypuszczeniom (np. o pochodzeniu człowieka od małpy), a to na tej rzekomo głębokiej zasadzie, że „każda baśń zawiera szczątki bezwiednych tradycyi.“

Mamy więc i tutaj wyliczenie tradycyi czarnych plemion Indyi, dzikich mieszkańców Malakki i t. p. którzy sami uważają się za potomków małp, których za takich mają sąsiedzi lub którzy małpy uważają za ludzi. Wszystko to w oczach darwinistów ma niezmierną wagę; szczególniej zaś ważnym jest przechowany u ludożerców Brazylii obrzęd *ucinania kija* w czasie godów weselnych, co ma oznaczać ucinanie ogona czyli raczej zabezpieczenia tym sposobem spodziewanego potomstwa od urośnięcia ogona. P. Ochorowicz jest tak zachwycony tym *dowodem naukowym* istnienia niegdyś u ludzi ogona, że aż *zwraca uwagę* swych czytelników na ten obrzęd (str. 492). A i doprawdy, któż może jeszcze wątpić o tem że ludzie mieli ogony, w obec tego faktu, że dzicy Brazylijczycy ucinają kawał kija na weselu?

Otóż taka jest argumentacya i taka logika darwinistów. Wobec takiej wagi podań Botokudosów, Morawarsów i Katkurów, nie wiem doprawdy, dla czego *nauka* nie miałaby, na powyższej zasadzie gruntu rzeczywistego, uwzględnić daleko bogatszych, głębszych i piękniejszych podań greckich np. o wyrośnięciu ludzi z zębów smoczych (Echion), z kamieni Deukaliona, o przemianie mrówek Eakusa w ludzi, Kadmusa w smoka, Arachny w pająka, Narcyza w kwiatek, Filomeli i Prokny w ptaszków? Chociaż niektóre z powyższych przytoczeń są zabawne, oszczędzę jednak czytelnikom dalszego rozbioru pracy p. Ochorowicza. Wspomnę tu jeszcze że niekiedy autor z dziwną powagą formułuje swoje wnioski i wywody, zawierające rzeczy od dawna elementarne (np. na str, 497) i że kraje *wschodnie* (na wschód od czego?) nazywa gorącemi (str. 503); chociaż między *wschodnimi* dużo jest krajów umiarkowanych a nawet zimnych.

Z przytoczonych wyjątków wyjaśnia się w całej pełni charakter owéj *psychologii historyi* p. Ochorowicza. Jest to psychologia *zwierzęca*, usiłująca utrzymać gwałtem człowieka w gronie zwierząt, wystawiająca za dogmat małpie jego pochodzenie, wyprowadzająca początek kultury ludzkiej, a nawet *uczuć* i życia *umysłowego* ludzkości nie z jakiejś tam pracy wewnętrznej duchowej (trzeźwi pozytywiści w podobne mrzonki nie wierzą), ale jedynie od zwierząt. Ostateczny cel całego wysiłku, popartego kupą anegdot zoologicznych i baśni ludów dzikich—*dowieść*, a przynajmniej *wmówić* w czytelników, że człowiek nie jest niczem innem jak *zwierzęciem*, że w sobie nic wyższego od zwierząt nie posiada, że wszystko *zawdzięcza* zwierzętom, które nawet nieraz uważał za lepsze i doskonalsze od siebie. Oto wyniki pozytywnej mądrości wolnego od przesądów wieku XIX-go!...

Wypracowanie p. Ochorowicza w Ateneum pozostało i pozostanie niedokończonem (z niewielką dla czytelników tego pisma szkodą), jak ogłosiła niedawno redakcya w zeszycie sierpniowym.

Powieść Kraszewskiego „Szalona“ stanowi cenną ozdobę Ateneum. O zwykłych zaletach dzieł szanownego jubilata, cechujących także i ten jego utwór, rozszerzać się byłoby zbytecznem, ale niepodobna nie zwrócić uwagi ogółu na oryginalność bohaterki tej powieści. Owa „Szalona“ Zonia jest typem w literaturze naszej powieściowej nowym, a żywym i na dobie będącym—jest to emancypantka, „studentka“ zarażona pozytywizmem i negacyjnemi teoryami, tak przeciwnemi tradycyom i duchowi naszego narodu. Słusznie więc autor źródło tych napływów umieścił w żywiole obcym, choć pokrewnym: bohaterka przejmuje się nową mądrością w towarzystwie studentów kijowskich, od Jewłaszewskiego, od pani Heliodory i tym podobnych postaci. Z dziwną prawdą i werwą, częstokroć z humorem, chociaż z łatwą do wytłomaczenia oględnością, kreśli autor obrazy zebrań studenckich i rozpraw pozytywnych niemniej wiernie wystawione jest życie owych trzeźwych myślicieli i samych apostołów. Życie to wyłącznie zmysłowe, niekrępujące się „przesądami“ jak życie samej Zoni i samego „ojca“ Jewłaszewskiego. Ten ostatni kończy tem że zostaje pilnym i gorliwym urzędnikiem, uciekającym od dawnych zwolenników... Wszystko to i tysiąc innych rzeczy tak prawdziwe, że wypada dziwić się, zkąd autor zaczerpnął tak wiernych wiadomości, gdzie widział te drgające życiem postacie, będące plagą dni dzisiejszych, wszystko to bowiem zbyt świeże, za czasów pobytu Kraszewskiego w kraju jeszcze nie istniało. W każdym razie dobrze że mistrz nasz dotknął tego świata, którego u nas, wskutek fałszywej jakiejś trwogi, dotykać nie chcą: mniemałbym że owszem wypadałoby i zwalczać i ośmieszać owe pseudo-liberalne (nie dla nas) i nihilistyczne kierunki, z któremi my nic nie mamy i nie powinniśmy mieć nic wspólnego. W przeciwieństwie do owego świata rozpasanego życia i rozpasanej myśli, występuje świat dawny, tradycyjny, w osobie Ewarysta, jego rodziców i Madzi. Nie zwycięża on wprawdzie tamtego, owszem sam Ewaryst ulega na czas jakiś pokusom Zoni, ale tylko na czas jakiś—dopóki Zonia nie uciekła z Francuzem. Zresztą między dwoma światami nie ma żadnych innych łączników i wpływów.

Co do Zoni, autor każe jej w końcu brać udział w ruchach komuny paryzkiej a o dalszych losach powiada: „zapewne pisze gorące odezwy do dzienników republikańskich, a po obiedzie pija absynt z wodą.“

Przy tej sposobności muszę (już nie po raz pierwszy) wyrazić ubolewanie, że o treści czasopism naszych, w krórych obecnie ześrodkowuje się znaczna część pracy literackiej, ogół nasz nie dowiaduje się wcale: brak bowiem w dziennikach sprawozdań choćby króciutkich, o czasopismach i wybitniejszych zawartych w nich artykułach. Tak np. o powieści „Szalona“ głucho, a jednak zasługiwałaby na rozbiór obszerny, którego w tem miejscu, ze względu na ramy niniejszego sprawozdania, dać nie możemy. Miejmy nadzieję że ta powieść ukaże się w oddzielnej odbitce i wtedy zwróci na siebie uwagę, na jaką zasługuje.

Na zakończenie próbki wykroczeń przeciwko językowi i teraz, jak zwykle, w Ateneum dosyć licznych. W zeszycie majowym na str. 202 niezrozumiałe wyrażenie: niezachwiane zmiany tronu“; tamże następujący przykład zagadkowego, nieudolnego stylu: „książę„ Meternich miał w Strasburgu *jednego i tego samego* nauczyciela fechtunku ubogim, skromnym oficerem artyleryi nazwiskiem *Napoleona Bonaparte* (a więc tak nazywał się chyba *nauczyciel*, nie zaś towarzysz nauki?), który na kilka dni przed przybyciem Meternicha do Strasburga miasto to *na inny jakiś zamienił garnizon.*“

„Uczestniczącego *aktowi* koronacyi“ (zam. *w akcie*, tamże str. 205); „w północnych *Niemcach*“ (zam. *Niemczech*, tamże str. 208); „*Regensburg*“ po pols. Ratyzbona, tamże str. 209); „nazajutrz *bitwy wagramskiej*“ (zam. *po bitwie*, tamże str. 214) „Francya, *ze strachu* naturalnie, nie ma przykładniejszego sprzymierzeńca od Austryi“ (tamże stronica 221) nielogicznie gdyż *strach* kierował Austryą nie zaś Francyą, nie można więc powiedzieć że Francya ze *strachu nie miała* i t. d. lecz raczej że Austrya *ze strachu była* najprzykładniejszym sprzymierzeńcem Francyi); „w *Małej Azyi*“ (zamiast w Azyi *Mniejszej*, pospolity rusycyzm, (tamże str. 323); „*atalskich* królów“ (tamże) raczej *Atalidów* gdyż to nie kraj, lecz dynastya); „w *lewym* ręku“ (ma być w *lewej ręce*, tamże str. 334); „Bóg *zszedł* na ziemię“ (rusycyzm — ma być *zstąpił*, Czerwiec str. 494); i niektóre inne.

Błędy korekty, częstokroć rażące i zabawne, zawsze są liczne; oto kilka przykładów.

Elektów zam. *elektorów* (Maj 203); *Ausbach* zam. *Anspach* (tamże 209). *Bellcophon* zam. *Bellerophon* (tamże 220); „*my* zam. *wy*“ (tam właśnie gdzie mowa o używaniu zaimka *wy* zamiast *pan*, tamże str. 232); *naznaczyła się* zam. *nauczyła się* (tamże 243); *karkmą ludzcy* zamiast *kormią ludzie* (Czerwiec 493) i t. p.

S.

Z kraju i z zagranicy.

✝ Dnia 19 października, w kościele pokarmelickim w Berdyczewie, wmurowana została w ścianę czarna marmurowa tablica poświęcona pamięci znanego pisarza ś. p. Aleksandra Grozy. Na środku tablicy umieszczono popiersie poety, z białego marmuru, a pod nim godła jego: lutnia, liście wawrzynu i zwój rękopismu. Napis brzmi: Pamięci, Aleksandra Grozy, ukraińskiego poety, poświęca grono przyjaciół i ziomków. w uznaniu jego zasług literackich i społecznych, Ur. w r. 1807, um. 22 października 1875 r.

✝ Jednocześnie niemal wzniesiono w Wilnie na cmentarzu *Rossie* pomnik dla Euzebiusza Słowackiego, profesora uniwersytetu wileńskiego, zmarłego w 1814 r. Jest to rodzaj groty z kamienia, w którą wmurowana jest wielka płyta a na niej wyryty wiersz syna jego Juliusza, wielkiego naszego wieszcza.

Wędrowiec, w drodze życia mdłą stargawszy siłę,
Wkrótce rzucę co miłe i co mi niemiłe.
Bez trwogi, nie bez żalu, widzę kres zbliżony,
Który z nagła w nieznane przeniesie mnie strony,
W tę spokojną uchronę gdzie wieczność przebywa,
I którą chmura pełna tajemnic okrywa.

✝ Przed parą tygodniami, w sprawozdaniu paryzkiej Akademii nauk, zamieszczono nader ciekawą wiadomość o zastosowaniu fotofonu do badania dźwięków mających miejsce na powierzchni słońca. Oto co doniósł Akademii pan Janssen, dyrektor obserwatoryum w Meudon.

Zaprosił on sławnego Aleksandra Graham'a Bell, wynalazcę fotofonu aby zwiedził obserwatoryum w Meudon, gdzie tenże przybywszy przyglądał się bacznie olbrzymim fotografiom, przygotowanym w celu badania powierzchni słońca Gdy p. Janssen oznajmił iż udało mu się skonstatować nadzwyczajną szybkość w ruchach materyi fotosforycznej, p. Bell powziął myśl zastosowania fotofonu do celu reprodukcyi dźwięków, które tak gwałtowne ruchy muszą niezawodnie wywoływać. Pan Janssen prosił p. Bell o wykonanie odpowiedniego doświadczenia, oddając zarazem do rozporządzenia wszystkie narzędzia i przyrządy obserwatorym w Meudon.

Doświadczenie miało miejsce w dzień bardzo pogodny. Ogromna podobizna słońca (0,65 metra średnicy) została zbadaną za pomocą odpowiedniego cylindru selenowego. Zjawiska jakie miały miejsce nie były o tyle donośne aby mogły być uznane za zadawalniające; jednakże pan Bell nie wątpi że dalsze doświadczenia zostaną uwieńczone powodzeniem. Pan Janssen jest zdania, że nadzieja powodzenia znacznie się powiększy gdy zamiast prostego badania podobizny słonecznej, przesuwaną będzie z odpowiednią szybkością przed aparatem fotofonicznym, cała serya fotografii danej plamy słonecznej wziętych w odstępach czasu dostatecznych do otrzymania znacznych zmian w układzie tej plamy. Przy pomocy tego sposobu można będzie w krótszym, dowolnym czasie spotęgować te zmiany, które są za słabe w pojedyńczych podobiznach słonecznych i przez to nie dozwalają zaprodukować dźwięków za pomocą fotofonu.

Ważna to i piękna myśl reprodukowania na ziemi dźwięków powstających na powierzchni słońca— czy tylko da się urzeczywistnić?

+ W zeszłym miesiącu ukazała się w handlu księgarskim, niewielka, niecały arkusz druku obejmująca broszurka, ale która treścią i zacną dążnością przewyższa wiele sążnistych rozpraw i traktatów; tytuł jej: „Wieczór u hrabiego X.“ pana B. R. Przedmiotem jej jest przypomnienie naszym znakomitościom z rodu i bogactwa, iż obowiązkiem ich jest przodowanie społeczeństwu na drodze rozwoju i postępu.

Autor opowiada iż hr. X, zaprosił go na wieczór na którym obecni byli tylko sami mężczyźni, przedstawiciele różnych sfer społecznych pod względem stanowiska i urodzenia, ale wszyscy bogaci. Gościnny i uprzejmy gospodarz zaprosił ich w celu wspólnej narady nad nader ważną sprawą rozwoju *krajowego* przemysłu, aby tenże nie był jedynie złudzeniem mogącem kiedyś nietylko sprowadzić rozczarowanie, ale nawet wywołać nader zgubną kwestyą socyalną. Przedstawiwszy że dziś nic się niemal nie robi dla rozwoju przemysłu, bo ludziom dobrej woli zbywa na środkach, a bogatym na dobrych chęciach lub też znajomości potrzeb kraju i odpowiednich zdolności, zaleca aby przynajmniej młode pokolenie kształcić we właściwym kierunku i samym zwrócić się niezwłocznie do zupełnie niemal zaniedbanego u nas przemysłu górniczego. W tym celu najbogatsi obywatele kraju powinniby złożyć odpowiedni kapitał, a do narady jak go użyć najkorzystniej, zawezwać ludzi rozumnych, obeznanych z przemysłem i potrzebami naszego kraju, bez względu na ich stan i urodzenie. Spółkowy ten kapitał należałoby, zdaniem hr. X. przeznaczyć w jednej części na poszukiwanie ciał kopalnych, na podtrzymywanie istniejących kopalni chylących się do upadku skutkiem braku kapitału, i, na nabywanie przestrzeni ziemi w okolicach obiecujących bogactwa mineralne i t. p. w tym z góry oznaczonym celu: aby podnieść przemysł nasz *siłami krajowemi*. Drugą połowę kapitału obrócić w pewnej części na kształcenie odpowiednich techników a pozostałość na wytworzenie „laboratoryum wynalazków czyli różnych technicznych ulepszeń.“

Przyklaśnięto gorąco przemówieniu hrabiego, poczem zabrał głos bankier Y* przedstawiając potrzebę założenia Towarzystwa wywozowego dla zbadania rynku w cesarstwie i strzeżenia prawidłowego rozwoju prowadzonego z temże handlem. Dalej mówił o konieczności uregulowania koryta Wisły, o wydawaniu książek odpowiednich dla ludu i potrzebie wędrownych dla ludu nauczycieli gospodarstwa wiejskiego, założenia szkoły technicznej i t. p. kwestyach.

Gdy skończył, gospodarz prosił zgromadzonych aby się znów u niego zebrali dla głębszego rozważenia poruszonych kwestyj i orzeczenia które zgodnie z naszemi siłami i środkami możnaby wprowadzić w życie, i zakończył mniej więcej temi słowy:

„Przedstawiając wam moje projekta starałem się wykazać: że wiele z tych rzeczy należy i można zrobić nietylko bez ponoszenia jakichś ofiar, ale nawet z zapewnieniem sobie odpowiednich zysków i dochodów, gdyż na te przedewszystkiem należy zwracać uwagę, bo sił naszych nie wyczerpią, dodadzą energii i dostarczą środków do dalszej na tem polu działalności. Nie ulega przecież wątpliwości że na niektórych moglibyśmy stracić, należy przecież mimo to w miarę sił i możności podejmować niekiedy i takie nawet sprawy o których wiemy z góry że wymagają od nas ofiar, gdyż nie do naszej bezpośrednio lecz do kasy ludności napędzą grosza. Działalność taka, prócz wewnętrznego zadowolnienia, zabezpieczy nas jeszcze od tego, że przyszły Słowacki nie będzie miał powodu obawiać się głosu z cmentarza londyńskiego, i nie ciśnie w oczy swym przodkom owych słów co go na Termopilach przywodziły do rozpaczy.“

Po tych słowach hr. przez chwilę głuche zapanowało milczenie — poczem rozległy się pełne zapału okrzyki.

Pewni jesteśmy że przeczytawszy to krótkie sprawozdanie, Czytelniczki nasze zapragną przeczytać całą broszurkę pana B. R. i tylko uczują do niego żal że nie wymienił nazwisk, i owego hrabiego, taki brylant czystej wody nazwał X. (iksem) a takiego feniksa bankiera Y. (ygrekiem) kiedy nazwiska ich raczej złotemi literami wydrukować należało. Niestety! p. B. R. nie mógł tego uczynić, bo piękne te ideały to tylko wytwór jego wyobraźni, jak przekonywa nas zakończenie broszurki.

W tak szczupłych ramach p. B. R. mógł tylko bardzo pobieżnie dotknąć nader doniosłych dla nas kwestyj, chciał wykazać potrzebę zebrań na których naradzanoby się nad tem co połączonemi siłami, inteligencyi i kapitału, zrobićby trzeba i można, gdyby obeznani z potrzebami kraju i pragnący jego dobra mieli odpowiednie środki, a ci co je posiadają lepiej byli zespoleni ze swojem społeczeństwem i więcej poczuwali się do swoich względem niego obowiązków; gdyby istniała jakaś spójnia łącząca jednych z drugimi. A na tej właśnie zbywa nam najzupełniej; tak w mieście jak na wsi życia towarzyskiego prawie nie ma. Za jedną z głównych przyczyn tego podają zwykle ogólną biedę, nam się zdaje iż jak to słusznie powiedział kronikarz „Niwy“ jest to raczej wynikiem powszechnego jakiegoś odrętwienia czy apatyi coraz więcej ogarniającej całe społeczeństwo, jakoteż coraz większego zacierania się w niem wszelkich idealnych pierwiastków, i zmateryalizowania serc i umysłów. Pozwalamy sobie powtórzyć tu piękny ustęp z jego ostatniego sprawozdania.

„Jest to wynikiem owej wiary w mesyaniczną potęgę pieniędzy, wedle której wszystko dziać się ma u nas za sprawą rubla, wedle której wartość wszelkich rzeczy na świecie, nie wyłączając wartości osób i czynów ludzkich, należy szacować na gotówkę. Nie bieda ale zbytek stał się przyczyną upadku i spaczenia życia towarzyskiego; nie dają się one utrzymać rublem ani tem co za rubla nabyć można. Potrzebuje idealniejszych pokarmów, niezbędne są dla niego umysłowe i moralne węzły Tymczasem węzły te w życiu towarzyskiem ustąpiły po największej części miejsca zupełnie innym czynnikom, mianowicie, chęci błyszczenia i żądzy używania. To też łatwo zrozumieć że w takim stanie rzeczy środki materyalne stały się najistotniejszym warunkiem życia towarzyskiego: że musiało ono uledz prawidłom rządzącym w świecie owych środków, a tym sposobem i w dziedzinie stosunków towarzyskich zapanowało wszechpotężne prawo swobodnej konkurencyi, oparte na ekonomicznej zasadzie podaży i popytu.

„Centrami życia towarzyskiego stały się domy tych którzy najwięcej *ofiarują*, którzy mogą błyszczeć najjaskrawiej i najobficiej zaspakajać żądzę użycia,—a że w swobodnej pod tym względem konkurencyi, sprostać sobie mogą tylko wybrańcy fortuny, ludzie więc musieli wkrótce podzielić się na *zabawodawców* i — wybaczcie mi ten nielogizm — *zabawników*. Łącznikiem między nimi—pieniądz dający jednym możność błyszczenia, drugim — możność użycia. Pieniądz jednak ma to do siebie, że wprawdzie ludzi między sobą wiąże, ale ich nie przywiązuje. I oto wkrótce między zabawodawcami i zabawnikami powstało coś co przypomina współczesny stosunek kapitału do pracy. Tu jak wiadomo jedni dążą do wyzyskiwania drugich, i stąd pewien antagonizm, pewna niechęć niby to ukrywana, ale przecież widoczna, która niezawodnie przywiodłaby strony do zerwania, gdyby nie wzajemne potrzeby, gdyby nie konieczność... wspólnego pożycia. Samo się przez się rozumie że pożycie to rozkosznem nie jest, — stroni też od niego kto może i jak może. Stąd taka mnogość towarzyskich anachoretów, towarzyskich pustelni i klasztorów, ztąd rozbicie społeczeństwa, jeżli nie na atomy, to na drobne ułamki. Stan to niezmiernie smutny, gwałtownie domagający się naprawy.

Sprawozdawca „Niwy“ tak kończy. „Nie zbytku i wystawy, nie świetnych przyjęć nam potrzeba; chodzi nam o wytworzenie innych a zupełnie odmiennych centrów towarzyskiego życia, w którychby ludzi wiązały i przywiązywały do siebie łącznik moralne i umysłowe; w którychby dobór duchowy zajął miejsce bezwyborowego zbierania się w orszaki... używających; w którychby główna rola przypadła myślom nie zmysłom. Bo tak jest zaprawdę: myśl krzepi węzły społeczne, zmysły je rozluźniają. A nam tak bardzo o wzmocnienie owych węzłów iść powinno...“ Możnaż powiedzieć poczciwiej?...

+ Akademia Mickiewicza, w Bolonii, obchodziła bardzo uroczyście dwudziesto piątą rocznicę zgonu nieśmiertelnego naszego wieszcza, w dniu 28 z. m. Dzięki niezmordowanym usiłowaniom uczonego profesora, Dominika Santagata jej założyciela i kierownika, akademia ta którą usiłuje on podnieść do wysokości międzynarodowej instytucyi dla zapoznania południa i zachodu z literaturą słowiańską, a szczególniej polską, rozwija się bardzo pomyślnie. Szkoda że dotąd u nas stosunkowo za mało okazuje się troskliwości o sławę ojczystego piśmiennictwa, jak tego dowodzi nader mała liczba osób zapisujących się na stałych lub rocznych członków akademii bolońskiej, tak potrzebującej zasiłku i funduszu czemu największa nawet ofiarność szanownego jej przewodnika podołać nie może. Włosi znów nie czują się w obowiązku pomagać do utrwalenia bytu instytucyi, której zadaniem sława piśmiennictwa i wieszcza zupełnie im prawie do ostatnich czasów nieznanego. Dopiero wykłady naszego poety-rzeźbiarza, Teofila Lenartowicza, o pismach prozą i znaczeniu poezyi Adama dla piśmiennictwa polskiego, i o Konradzie Wallenrodzie, miane w Bolonii w sali akademii, dały im pewne pojęcie o potędze geniuszu nieśmiertelnego ich twórcy. Na te wykłady Lenartowicza gromadziła się cała inteligencya miejscowa, kwiat towarzystwa i kilkuset studentów uniwersytetu bolońskiego, którzy z niewysłowionem zajęciem słuchali wykładów, a następnie wysłali ze swego grona deputacyą, z prośbą

aby stale wykładał literaturę polską. Słabe zdrowie poety nie dozwoliło mu uczynić zadość tak zaszczytnemu wezwaniu.

Jeźli prelekcya o wieszczu naszym tak silne na obcych mu duchem wywarła wrażenie, jakże żywo musiała być wzruszoną mała garstka obecnych na niej rodaków, na których już oddziaływał tak silnie sam widok tej sali uniwersyteckiej, w której odbywają się posiedzenia akademii Mickiewicza, a której starodawne ściany pokrywają herby znakomitych Polaków z XVI i XVII w., którzy tam pobierali nauki. Obecnie profesor Santagata potrzebuje funduszu na wydawanie czasopisma mającego być we Włoszech organem akademii i słowiańskiego piśmiennictwa. Pragnący zostać dożywotnim członkiem akademii, opłaca jednorazowo 23 rs. czasowy członek płaci rocznej składki 1 rs. 50 kop.; w przesłaniu pośredniczy Redakcya Tygodnika Illustrowanego, gorliwie zajmująca się sprawą akademii Mickiewicza. Członkowie wszyscy otrzymywać będą pisma wydawane nakładem akademii, a dożywotni prócz tego dyplom nadający im tę godność.

+ We Wrocławiu zawiązało się stowarzyszenie pod nazwą: „Towarzystwo Górno-Szlązkie“, w celu niesienia pomocy akademikom Polakom, pochodzącym z Górnego-Szlązka i pragnącym poznać gruntownie język rodzinny, oraz nabywania wiadomości w tych gałęziach wiedzy, które są niezbędne w zawodzie jaki obrać zamierzają. Każdy znający smutny stan stosunków na Górnym Szlązku, a jednocześnie pragnący dobra i dbały o przyszłość ludności tak znękanej, szczególnie od lat dziesięciu, ową tak zwaną „wyższą kulturą germańską“ przyklaśnie radośnie czynności powyższego Towarzystwa.

Cel chwalebny i dobrze obmyśany; w położeniu Górno-Szlązaków nie należy pomijać wszelkich godziwych środków, przeprowadzać je wytrwale, a choćby najsłabsze w końcu doprowadzą do celu.

+ Pan Aleksander Świętochowski wydał jak wiadomo prospekt na nowe pismo tygodniowe pod tytułem *Prawda*—w którem przyrzeka tylko *z prawdy*, jako z życiodawczego źródła, czerpać treść do swego czasopisma. Obietnica wielce ponętna, któż nie rad przysłuchiwać się rąbaninie prawdy nie do siebie zwróconej. Tu słuchaczem ma być cała społeczność, w której piśmiennictwo, według słów prospektu, pracowało za szeroko i za gorliwie nad hodowlą świadomych i bezwiednych złudzeń. Szkoda że p. Świętochowski nie wymienił kategorycznie owych tak szkodliwych złudzeń, bez czego zarzut na potwarz zakrawa. Jeżeli nie mógł tego zrobić, dlaczegóż oskarżał ojców których jest wychowankiem, a którzy po części chlubią się niejako swym wychowańcem. Piśmiennictwo więc przed dwoma i trzema dziesiątkami lat, nie musiało być tak złe, skoro w obecności prasa peryodyczna doszła do takiego rozwoju, że nawet zaczyna się barwić właściwemi sobie a odrębnemi zupełnie kierunkami. Nie są one może godne bezwarunkowej pochwały, zawsze jednak dowodzą wielkiej żywotności ducha, wyrasta dzielnie rokując olbrzyma. Czyby i to miało być złudzenie?

Pan Świętochowski wszystkich starych pracowników pióra, oskarża o nie, a czy nie łudzi się sam obiecując tylko pisać prawdę i ją ogłaszać w swojem czasopiśmie?

Prawda! wielkie słowo, im większa tym większem darzy swych głosicieli męczeństwem. Czy pan Świętochowski chciałby zostać jednym z nich? Wątpić należy:—pozytywizm warszawski przedewszystkiem siebie stawia na piedestale własnej wielkości, drwi z poświęcenia, wyśmiewa ideały rubla nie przynoszące w zysku i patrzy zkąd wiatr wieje aby razem z nim płynąć na fali rozbujanych żywiołów.

Prawda czego innego zupełnie wymaga: każe zaprzeć się samego siebie, uznać się maluczkim w duchu, i ze sztandarem z wypisaną na nim własną ideą, iść śmiało choćby przeciw uraganowi, choćby przeciw mocom samego piekła i co krok waląc się z nóg podnosić, dźwigać i iść znów dalej i dalej, dopóki tchu staje dopóki tleje w ciele choćby ostatnia iskierka życia.

Tacy byli niegdyś, dziś... brak ich zupełny, prawda też milczy a kłamstwo króluje.

Jakże ciężkie zadanie przyjął na siebie p. Świętochowski! Czuł to widać bo zastrzegł w prospekcie, że czerpać będzie z prawdy *ile siły pozwolą*, to jest *o ile możność na to dozwoli*. Będzie więc to prawda połowiczna, wycacana, wychuchana, oglądająca się i w prawo i w lewo, aby z jednej strony nie oberwać guza a z drugiej nie stracić poły surduta. Cóż taka prawda warta? Sarkazm, skandal, brutalne słowa nie zastąpią jej miejsca, choć pod sztandarem prawdy występują. Wszechwładną tę potęgę inaczej pojmujemy. Potężne jej słowa trafią wszędzie gdzie ludzi znajdą, wszystkich przyciągają a nie odpychają, rozgrzewają ducha a nie palą ciała gniewem i rumieńcem upokorzenia.

O! takiej prawdy dajcie nam jak najwięcej, przyjmiemy ją chętnie, przytuliwszy do serca, zapiszemy na zawsze w pamięci i tradycyjnie przekażemy następnym pokoleniom. Taką prawdę właśnie owi starzy, dziś pogardzeni, głosili braciom swoim... Nie rzucajcież na nich kamienia potępienia!

Pan Świętochowski prawdy te nazywa złudzeniem a więc kłamstwem.

Ciężki to zarzut! Ale pytamy go, czyż bez zająknienia może twierdzić, że własne jego idee i pojęcia są prawdą absolutną? Byłaby to ogromna zarozumiałość, o którą nawet jego nie posądzamy. W samym zatem prospekcie obiecującym jedynie prawdę, już mieści się *nieprawda*, bo przyrzeka to czego dotrzymać nie może.

Ale czekajmy cierpliwie na pierwszy numer:—ciekawość to wielka jak w pozytywnym przystroju wystąpi prawda i rzuci nam w oczy ciemięztwo i nieudołężność.

Inne prospekty pism nowych i dawniejszych nie przedstawiają żadnej treści do uwag i zastanowienia. Każde pragnie poczciwie pracować i choć kęs chleba mieć za to. Nie możemy się jednak dość nadziwić, ogłoszeniu Gazety rolniczej zapowiadającej w swym odcinku powieść Sewera p. t. Walka o byt. Jest to nowość prawie nigdzie nie praktykowana. Że powieść będzie dobrą nie wątpimy. że pismu nie zaszkodzi przypuszczamy, ale żeby była rzeczą właściwą, na to się nigdy nie zgodzimy.

Opinia o wartości pisma tylko przez czas wyrabia się, szczególniej oddanego specyalnemu przedmiotowi. Kto chce jakimś nadzwyczajnym, niezwykłym sposobem uzyskać ją, omyli się bardzo. Kraj pokazał już że pism rolniczych pragnie, bo tak Gaz. rol. jak i Tyg. rolniczy, zaópatrzył w dostateczną liczbę prenumeratorów. Cóż ich odstręczyło? Oto mówiąc prawdę: zła redakcya, brak starania i przynoszenia prawdziwego pożytku, a wytężenie wszystkich sił jedynie do wyciągnięcia z nich zysków najmożebniejszych. Nic więc dziwnego że pisma zaczęły być tylko spychane, czytelnicy sarkali, odstępowali, redaktorzy wzdychali i szukali gdzieindziej zarobku, wreszcie pisma osławiono, uznano je za niedołęgi i skazano na wegetacyą w której zaledwie dyszą aż do tej pory. Co więc psuło się przez lata, tylko latami da się naprawić. Powieści nie spełnią tego, tylko praca wytrwała i rozumna.

+ Występy abonamentowe p. Kochańskiej ukończyły się. Dyrekcya abonamentów obdarzyła aż dwa razy Cyrulikiem Sewilskim, jesteśmy jej niewymownie wdzięczni, że całego repertoaru nie zapełniła tą operą.

Od Redakcyi.

W roku przyszłym 1881, pismo Tygodnik Mód wychodzić będzie pod temi co dotąd warunkami. Przypominamy, że prenumeratę najlepiej jest uskuteczniać *bez żadnego pośrednictwa* w samej Redakcyi, bo tylko tym jedynie sposobem regularne odbieranie numerów może mieć miejsce.

Cena prenumeraty pozostaje ta sama, a mianowicie:

NA TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . rs. 2 kop. 50

Półrocznie . . . rs. 5

Rocznie . . . . rs. 10

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **Kwartalnie — k. 75.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . . . rs. 1.

Półrocznie . . . . . rs. 2.

Rocznie . . . . . . rs. 4.

Do dzisiejszego N-ru **Tygodnika Mód** dołącza się dodatek z drzeworytami, oraz dla prenumeratorów na prowincyi Prospekt na dzieła Al. hr. Fredry.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава 1 Декабря 1880 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 51 r. 1880.

ZE WSPOMNIEŃ SIEROTY.

PRZEZ

F. MARYAT.

(przekład z angielskiego.)

(Dalszy ciąg).

Zarumienił się zmiarkowawszy że nie powinien był dotykać tego przedmiotu, i nie powiedział już nic więcej.

— Chciałabym bardzo widzieć to biedne dziecko, rzekła z westchnieniem lady Halsted.

— Czy tak! podobna do matki! mruknął sir Lionel, który dawno już otrząsł się ze smutku po śmierci córki; nie przypuściłbym nigdy, Ulryku, aby to mogło stanowić dla ciebie zachętę. Wszak nie pierwszy to raz przychodzisz do mnie z podobnem żądaniem, tylko że czasy się zmieniły, bardzo się zmieniły.

— Ah! biedna Cecylja, odezwała się lady, nie zapominaj że już nie żyje, i że już nigdy z jej powodu nie będziemy mieli zmartwienia. Co do mnie, sądzę że nigdy nie zdołamy podziękować dość gorąco Ulrykowi, za jego dobroć dla dziecka naszej córki.

— Ta ladaco, dosyć nam wyrządziła złego za życia, zawołał baronet, okazała się złą córką dla nas, a względem ciebie Ulryku postąpiła niegodnie, nieuczciwie. Powiedziałem ci to już dawniej, i dodałem że możesz się uważać za szczęśliwego że cię uwolniła od siebie, tylko że wtenczas nie podzielałeś mego zdania.

— Sir Lionelu, sir Lionelu, nie zapominaj o kim mówisz, zawołała jego żona.

— Mówię to co myślę, lady Halsted, i byłbym ci bardzo wdzięcznym gdybyś mi nie przerywała tak co chwila; jest to dla mnie rzeczą bardzo nieprzyjemną.

— Nie bierz mi za złe sir Lionelu, jeżeli cię proszę abyśmy porzucili, tak przykry dla mnie przedmiot rozmowy. Nie stanowi to jeszcze tak wielkiej zbrodni, że kuzynce mojej Cecylji ktoś inny podobał się więcej odemnie, a zresztą stało się to już tak dawno że lepiej zapomnieć o tem. Zresztą, co do mnie, mogę zaręczyć że cokolwiekbądź przecierpiałem z tego powodu, nie wyrzekłem nigdy jednego słowa uwłaczającego waszej córce, a teraz szanuję jej pamięć, przez wzgląd na jej córkę, przez wdzięczność że mi zostawiła moją ukochaną Dorę.

— O! ty zawsze byłeś dobrym, szepnęła lady Halsted.

— Więc już stanowczo postanowiłeś okryć się śmiesznością? zapytał sir Lionel.

— Domyślałem się, sir Lionelu, że będziesz widział ważną przeszkodę w tak znacznej różnicy wieku, odpowiedział Ulryk, trochę zmieszany, ale zechciej zwrócić na to uwagę, że jestem w możności otoczyć Teodorę komfortem, nawet zbytkiem, do którego jako twoja wnuczka, ma prawo.

— Co za niedorzeczność! nie pomyślałem nawet o różnicy wieku. Kiedy człowiekowi obdarzonemu twojemi zdolnościami, i zajmującemu takie jak twoje stanowisko, przyjdzie ochota ofiarować córce awanturnika swoje nazwisko i swój majątek, czyni jej tem największy zaszczyt, choćby nawet miał lat pięćdziesiąt, a ona piętnaście. Myślałem o tobie, a nie o niej.

— Nie widziałeś jej, sir Lionelu, odpowiedział Ulryk z dumnym uśmiechem.

— Opiekowałeś się troskliwie tem dziewczęciem, łożyłeś koszta na jej utrzymanie i wychowanie, mówił dalej sir Lionel; gdybyś więc pomimo to nie miał jeszcze prawa wziąć ją sobie za żonę, to już nie wiem doprawdy komuby ono przysługiwało. Przypuszczam że przybyłeś tu aby pozyskać moje zezwolenie, udzielam ci je więc z całego serca, uważam to za wielkie szczęście dla tego dziewczęcia, i spodziewam się że ci nie sprawi nigdy tyle cierpienia jak niegdyś jej matka.—Zdaje mi się, milady, że możemy już wrócić do ogrodu.

Ta powtórna wzmianka o przewinieniu biednej Cecylji sprawiła przykrość Ulrykowi, jeżli zawiniła przeciwko niemu to wszakże pozostawiła córkę która mu wynagradzała szczodrze wszelkie przebyte cierpienia, a jakkolwiek uleczył się już zupełnie ze swej pierwszej miłości, nie lubił aby wspominano lekkomyślnie jak bolesnego doznał zawodu.

— Jestem ci szczerze wdzięcznym sir Lionelu, za dobre życzenia, rzekł ściskając rękę wuja, ale mi przykro że połączyłeś z niemi gorzkie wyrzuty dla tej która opuściła nas już na zawsze. Jestem przekonanym że cios który mnie spotkał z jej ręki obudził w tobie szczere i głębokie współczucie dla mnie, ale bądź pewnym, sir Lionelu, że powiększyłoby to jeszcze moją wdzięczność dla ciebie, gdybym usłyszał z ust twych wyrazy dowodzące że to co sprawiło nam tyle zmartwienia zostało już zapomnianem i przebaczonem, że wspomnienie zmarłej budzi już tylko w sercu twojem uczucie litości i żalu, że spodziewasz się równie jak ja, iż Bóg pozwoli nam wszystkim połączyć się kiedyś razem, w krainie wiecznej miłości i wiecznego spokoju.

Na twarzy starca malowało się silne wzruszenie: zatrzymał się na środku pokoju, ale nie mógł wymówić ani jednego słowa.

— Wszakże wszyscy porzucimy kiedyś te ziemię sir Lionelu, i może prędzej nawet niż się tego spodziewamy, jakże to strasznie byłoby umierać z takim gniewem w sercu, mnie przynajmniej sama myśl o tem wydaje się okropną. Nie utrzymuję jednak bynajmniej że stosowałem się zawsze do tych przepisów chrześciańskiego miłosierdzia; był czas w którym gorzki żal i smutek doprowadziły mnie do takiego otrętwienia, że nie wierzyłem już w nic prawie, i nie spodziewałem się abym mógł być jeszcze szczęśliwym. Ale szczęście zawitało do mnie, i to szczęście doskonalsze jeszcze od tego które utraciłem, i teraz dziękuję Bogu że mi kazał tak długo czekać, bo inaczej może nie potrafiłbym go tak dobrze ocenić.

— Więc Teodora zna całą twoją wartość, i kocha cię jak na to zasługujesz?

— Tak, jestem tego pewnym, odpowiedział z żywością Ulryk.

— Sądzisz że będziesz z nią szczęśliwym.

— Tak, nie wątpię o tem.

— Masz nadzieję że tak będzie zawsze, że cię nie zawiedzie jak cię zawiodła niegdyś jej matka?

— Jestem najsilniej przekonanym że mi zawsze będzie wierną.

— A więc, niech Bóg przebaczy Cecylji przez wzgląd na jej dziecię, i pozwoli nam spotkać się razem, w krainie wiecznej szęśliwości.

— Dziękuje ci, sir Lionelu, rzekł Ulryk, czując że zbytecznem byłoby wymagać więcej i przedłużać o tem rozmowę.

— W takim razie, zawołała po chwili lady Halsted, Teodora nie pójdzie za pana Bertram; jakże się z tego wywikłasz, Ulryku?

— Ha! nie wiem, odpowiedział śmiejąc się; ale jakkolwiek ubolewam nad moim przyjacielem, mam nadzieję że się wkrótce pocieszy. Kochał się już nie raz, o ile mi wiadomo.

— Kiedyż nam ją przywieziesz do Trampton? Oczy Ulryka błyszczały radością.

— Kogo, Teodorę? Zechciej sam oznaczyć dzień sir Lionelu, a ja zastosuję się do tego.

— Czy nie mógłbyś przyjechać na kilka tygodni do Trampton? Wszak mamy dziś czwartek? Scott'owie i Brandon'owie wyjeżdżają w poniedziałek, pozostanie więc tylko sama nasza rodzina i młody kuzyn lorda Ottona. Gdybyś więc przyjechał do nas z siostrą i naszą wnuczką we wtorek lub środę, i zabawił kilka tygodni, byłaby to może przyjemna dla ciebie zmiana, tem więcej że na wsi gorąco nie jest tak dokuczliwe jak w mieście.

— Teodora i siostra moja będą korzystać z największą przyjemnością z twego zaproszenia, mój wuju, ale co do mnie, wiesz jak mi trudno pozwolić sobie choć na kilka dni odpoczynku. W każdym razie cieszy mnie to niewymownie że poznasz moją narzeczoną.

— Może mógłbyś przyjeżdżać do nas na obiad, powiedziała lady Halsted.

Doktór Ford oświadczył że będzie korzystał z jej łaskawego zaproszenia o ile będzie mógł najczęściej a potem pożegnał się i wyjechał z Trampton, dziwiąc się że mu wszystko poszło tak pomyślnie, i że los nakoniec zaczął uśmiechać się do niego.

Pozostawało mu jednak do spełnienia jeszcze jedno, i to dość ciężkie zadanie; potrzebował napisać dziś jeszcze do Wiliama Bertram, uwiadomić go o niepomyślnej dla niego odpowiedzi miss Fleming, a zarazem donieść o niespodziewanem szczęściu jakie spotkało jego samego. Tak się obawiał aby Bertram nie posądził go o podstępne korzystanie z jego nieobecności, że wyznał mu otwarcie iż oddawna już kochał Dorę, ale ukrywał przed nim swoje uczucia, chcąc mu dać przed sobą pierwszeństwo.

Czuł się swobodniejszym po napisaniu tego listu, i poddał się zupełnie urokowi tego nowego otwierającego się przed nim życia; nawet Dora nie mogła go prześcignąć w wesołości. Słowem, stał się zupełnie innym człowiekiem, i zdawało się że miłość jego dla tej młodziutkiej istoty, jemu także powróciła młodość. Co go teraz obchodziły te wszystkie niedorzeczne uwagi z któremi mu się narzucano, i te wszystkie obawy któremi sam niepokoił się dobrowolnie. Dosyć mu było spojrzeć na Dorę aby o nich zapomnieć, lub też śmiać się z samego siebie że mógł przywiązywać jakąś ważność do czegoś tak nieprawdopodobnego.

IX.

Z pamiętnika Dory.

List mojego ojca rozproszył w jednej chwili błogie wzruszenie, niewysłowioną radość którą mi sprawiło wyznanie kuzyna Ulryka. Zaledwie zaczęłam wierzyć że istnieje na ziemi szczęście doskonałe, zaledwie zaczęłam marzyć o przyszłości nie zasępionej żadną chmurą, gdy ten list spadający nagle jak grom, przypomniał mi że szczęście może zniknąć zanim je pochwycę, lub zostać zniweczonem, jeżeli je zdołam pochwycić; wiele osób przedemną łudziło się zwodniczą nadzieją, próżnemi marzeniami, ale mało komu przerwano tak prędko jego sny błogie.

Nieszczęście dotknęło mnie swą lodowatą ręką, i zdawało mi się że krew zastyga we mnie. Dręczyłam się tą myślą że nie powinnam zaślubić mego kuzyna nie wyjawiwszy mu pierwej smutnej prawdy, a czułam że ojciec mój nie zezwoli na to nigdy abym ją wyznała.

Po powrocie do Rockborough, nie myślałam tak często o panu Dawid; w ciągu mej choroby i kiedy już wracałam do zdrowia, umysł mój był wyłącznie zajęty innym tak żywo obchodzącym mnie przedmiotem; że myśl moja zaledwie niekiedy zwracała się do ojca, a prócz tego czułam się tak bezpieczną w Rockborough, pod opieką kuzyna Ulryka, że w końcu nabrałam przekonania, że wszelkie moje stosunki z panem Dawid już na zawsze zostały zerwane. Nie przypuszczałam nigdy że może napisać do mnie.

Teraz trzymając list jego w reku dziwiłam się samej sobie, że nie przeczuwałam że mnie to kiedyś spotka. Odebrałam kilka listów od Felicyty d'Alvan, która już także wróciła do rodziców; i raz tylko wspomniała o moim nauczycielu rysunków, donosząc mi że przestał już dawać lekcye u miss Little, gdyż jak mówił zabierało mu to zbyt wiele czasu. Zrozumiałam łatwo rzeczywiste tego powody, ale nie przyszło mi na myśl że Felicya mogła to usłyszeć z ust samego pana Dawid'a, mieszkającego w Brukselli równie jak moja przyjaciółka. Teraz dopiero dowiedziałam się z jej listu że spotykała go często: dawał lekcye jej serdecznej przyjaciółce, Eulalji Themar, a ponieważ ona bywała codzień u tej Eulalji, miała sposobność rozmawiać z nim często. Jest równie pięknym i uprzejmym jak dawniej, i gdyby nie pewien pan Moore (bawiący obecnie w Anglji, a którego wyjazd zakrawił jej serce) ten piękny artysta mógłby bardzo zawrócić jej głowę.

Pisała dalej że mówił ciągle o mnie, wypytywał się o wszystko co mnie dotycze, słuchał z największem zajęciem wyjątków z moich listów, i ubolewał często że może nie zobaczy mnie już nigdy.

„Słowem, moja miła, jest to rzeczą nie podpadającą wątpliwości że zachwyciłaś tego zachwycającego artystę, i żałuję tylko ze względu na ciebie że pan Dawid nie jest jakimś przebranym hrabią lub księciem. Bądź co bądź, nie mogłam mu odmówić gdy prosił abym ci w moim liście przesłała bilecik od niego, tym więcej gdy mnie zapewnił że zawiera tylko pewne objaśnienia co do przełamania niektórych trudności w malarstwie, o co prosiłaś go listownie. Chciałam mu dać twój adres, ale mi odpowiedział że nie jest to przyjęte w Anglii aby młode panienki odbierały listy od gentlemanów. Co prawda to i w Belgji nie ma tego zwyczaju, ale umiemy obie dotrzymywać sekretu, a dopóki nikt prócz nas nie dowie się o tem, nie potrzebujemy lękać się niczego.“

Otworzyłam więc bilecik o którym mówiła, tak niecierpliwie, tak porywczo, że o mało nie rozleciał się w kawałki. Wszyscy prócz mnie, znaleźliby w nim to tylko o czem wspomniała Felicya, to jest, kilka uwag dotyczących malarstwa, parę słów żalu, z powodu tak nagłego przerwania naszych lekcyj, a w końcu wynurzenie nadziei że się kiedyś spotkamy.

Widziałam w każdem słowie tego bileciku, tak na pozór nic nie znaczącego, że pan Dawid zamierza prześladować mnie ciągle. Był napisany bardzo ostrożnie, jakby przewidywano że może wpaść w obce ręce, ale już to samo że szukano sposobu przesłania go do mnie, udając że to jest odpowiedź na pytania których nie zadawałam nigdy, wreszcie wyrażona przy końcu nadzieja że zechcę na ten list odpisać, utwierdzało mnie w tem przekonaniu że ten bilecik był zwiastunem innych które po nim odbierać będę.

— Co czynić? Jakiego użyć sposobu dla uwolnienia się od tak nieznośnej dla mnie korespondencyi?

Chcąc zastanowić się nad tem lepiej, zabrałam listy i udałam się do mego pokoju.

Było to rzeczą pewną że jeżeli nie odpiszę, doprowadzę pana Dawid'a, do tak strasznego gniewu jak w owym dniu kiedy mi zagroził że mnie odbierze od mego opiekuna, i wyjedzie ze mną gdzieś daleko, tak daleko że nie zobaczę już nigdy moich przyjaciół. Później groźba jego często brzmiała mi w uszach, i nie raz myślałam drżąc z przerażenia że mógłby ją doprowadzić do skutku, gdybym odważyła się stawić mu opór, dopóki ma do mnie niezaprzeczone prawo. Mógł otwarcie napisać do mnie, rozkazać abym do niego przyjechała, żądać abym przy nim mieszkała, lub poszła za któregoś z jego znajomych. Byłam jeszcze tak młodą i łatwowierną iż uwierzyłam że będzie wolał łożyć na moje utrzymanie, niżeli zezwolić na związek mój z człowiekiem bogatym a to jedynie aby zemścić się nademną.

Znał moją przeszłość, wszystkie okoliczności mego obecnego życia, i miał nawet mój adres, a zatem byłam zupełnie w jego mocy, nie mogłam więc nic lepszego uczynić dla ułagodzenia go, jak przesłać do niego bilecik w pierwszym moim liście do Felicyi.

Chcąc wywiązać się jak najprędzej z tak przykrego dla mnie zadania, usiadłam natychmiast przy biórku i napisałam tę przymuszoną odpowiedź; skreśliłam ją tak krótko i chłodno o ile to być mogło bez narażenia się na gniew jego. Podziękowałam mu za udzielone mi rady, następnie doniosłam że chorowałam dość długo, że wyjadę wkrótce z Rockborough gdzieś nad morze, aby odzyskać zupełne zdrowie. W tej wiadomości było tyle tylko prawdy że kuzyn Ulryk wspominał o tem kilka dni temu: ale chciałam tym sposobem postawić ojca w niemożności pisania do mnie listów, przynajmniej na czas jakiś, gdyż nie znając miejsca mego pobytu, nie będzie wiedział gdzie je adresować. Później, będę już żoną Ulryka (o czem, ma się rozumieć nie uczyniłam najlżejszej wzmianki) a zatem niezależną już od niego, i wolną od wszelkich z jego strony prześladowań. Wszystko to jednak miało się ziścić w przyszłości, a teraz, potrzeba uciekania się do wykrętów, i niepewność czy użyte przezemnie środki okażą się skutecznemi, doprowadzały mnie prawie do rozpaczy. Zdawało mi się że nie jestem już godną być narzeczoną Ulryka, skoro byłam zmuszoną ukrywać coś przed nim.

Smutna, zniechęcona; niepewna co mam czynić dalej, żałowałam prawie, dopóki kuzyn Ulryk nie wrócił, że mi wyznał swą miłość dla mnie, ale kiedy znów zobaczyłam tę twarz tak mi drogą, tak wielka radość napełniła me serce że rozproszyła wszelkie moje obawy. Było to dla mnie tak wielkie szczęście zajmować miejsce obok niego, czuć że już zawsze tak będzie, i że zawsze będę pierwszą w jego sercu. Czułam się jednak przy niem jakoś onieśmieloną, powiedziałabym nawet zalęknioną gdyby to wyrażenie nie było zbyt silne na oddanie uczucia którego doznawałam. Było to dla mnie coś tak nowego i dziwnego wiedzieć że jestem panią jego myśli, że nie uważa mnie już za dziecko, ale za kobietę rozsądną, która już może zostać jego żoną.

Nie mogłam wyjść z podziwienia spostrzegłszy że oczy moje posiadają moc wywoływania rumieńca na twarz kuzyna Ulryka, i przypominam sobie że było to dla mnie najbardziej zajmującem i zdumiewającem odkryciem. Uważałam go zawsze za istotę tak nieograniczenie wyższą odemnie (co zresztą było zupełnie słusznem) za człowieka tak poważnego, tak umiejącego panować nad sobą, że nie zdołam wysłowić jak mnie to zadziwiło kiedy się przekonałam, że mogę sprowadzić na jego twarz szkarłatny rumieniec, który znów wywoływa równie silny rumieniec na mej własnej twarzy. Zrozumiałam wtenczas że pomimo różnicy wieku, zdolności, i rozwoju umysłowego, jednakie uczucie zbliżało nas i równało z sobą. Był to nowicyat do ślubów które wykonać miałam, a które miały połączyć mnie z nim na zawsze. Były to pierwsze moje postępy w sztuce kochania.

Kiedy nazajutrz rano zeszłam na śniadanie, kuzynka Marynna zbliżyła się do mnie i rzekła całując mnie w czoło:

— Winszuję ci Teodoro!

Tak w pocałunku jak w słowach nie wiele było serdeczności, ale domyśliłam się że mi przez to chce dać do zrozumienia, iż wie już że wkrótce będziemy siostrami, i poprzestając na tem, odpłaciłam się jej szczerem uściśnieniem. Zdaje mi się że musiałam nadwerężyć świeżość jej koronkowego kołnierzyka, gdyż starała się uwolnić z mego uścisku, a potem powiedziała: że czas już było pozbyć się tych nawyknień pensyonarskich. Ale kuzyn Ulryk był obecnym i czułam się zbyt szczęśliwą aby mnie mogło obrazić trochę nie delikatne wyrażenie. Usiadłam do śniadania, ale byłam tak wzruszona że nic jeść nie mogłam.

Następnego dnia kuzyn Ulryk udzielił mi wiadomość całkiem niespodziewaną, ale trudno byłoby mi powiedzieć czy była dla mnie przyjemną czy też trochę przykrą. Był u mojego dziadka aby go uwiadomić onaszych zamiarach, i sir Lionel życzył sobie abyśmy przyjechali do Trampton w następnym tygodniu, a zarazem oświadczył że byłoby mu przyjemnie gdybym zabawiła tam wraz z kuzynką Maryanną przez parę tygodni.

Mój opiekun zdawał się bardzo zadowolnionym z tego, i był przekonanym że pobyt w domu dziadka i babki sprawi mi przyjemność; przewidywał że będę wkrótce w jak najlepszych stosunkach z ciotkami, wujami i kuzynkami. Co do mnie, milczałam ciągle; nie poczuwałam się do wdzięczności za to zaproszenie przychodzące tak późno. Już trzy lata upłynęły od śmierci mojej biednej matki, a przez ten czas tak długi, rodzice jej nie troszczyli się o mnie, cały ciężar opieki nademną zrzucili na kuzyna Ulryka, a jeżeli kiedyś zapytali się o mnie, to nigdy nie wyrzekli jednego słówka dozwalającego się domyśleć, że byliby radzi zobaczyć mnie kiedyś

dla tego też teraz uczucie dumy sprzeciwiało się temu abym pojechała do Trampton, kiedy nakoniec raczyli mnie tam zawezwać. Kuzyn Ulryk posiadający dar odgadywania moich uczuć, odpowiedział na moje myśli tak jakbym je wyraziła słowami.

— Projekt ten nie podoba ci się, Doro? uważasz że to zaproszenie powinno było nastąpić kilka lat temu, i sądzisz że skoro się tak spóźniło, nie zasługuje na to aby je przyjąć?

— Rzeczywiście, kuzynie Ulryku, nie mam ochoty przyjmować łask i grzeczności nie pochodzących z przywiązania do mnie. Kiedy potrzebowałam rodziny i opieki: dziadek mój nie chciał mnie widzieć odepchnął mnie od siebie, a kiedy nie potrzebuję go już wcale, zaprasza mnie do Trampton; ale teraz ja miałabym ochotę powiedzieć mu że się obejdę bez tej znajomości.

— Sądzisz więc że zaproszono cię tylko przez wzgląd na mnie?

— O! nie, kuzynie Ulryku; nie posądzaj mnie o tak wielką pychę, abym mogła odrzucać jakąś grzeczność dla tego że ją wywołał jedynie wzgląd na ciebie; wolałabym nawet aby pochodziła tylko z chęci przypodobania się tobie. Wszakże już od tylu lat tobie jedynie zawdzięczam wszystko! Ale czuję że to zaproszenie otrzymałam tylko dla tego, że rodzice mej matki dowiedzieli się iż wkrótce zajmę takie stanowisko, że obecność moja nie będzie już obrażać ich dumy i przynosić im wstydu.

— Mylisz się, moje kochanie; jeżeli się czuli obrażonymi w swej dumie i w swym honorze, to nie przez ciebie, ale przez tego, który już teraz nie może popełnić żadnego czynu okrywającego ich niesławą; słowem, przez twego nieszczęśliwego ojca.

Zadrżałam gdy to powiedział, i czułam że blednę Kuzyn Ulryk widząc mnie tak wzruszoną, przycisnął mnie z czułością do serca.

— Czy... czy to była... tak wielka hańba? zapytałam cicho.

— Tak, Doro, bardzo wielka; gdyż małżeństwo zawarte w taki sposób, i to jeszcze z człowiekiem bez nazwiska, niecnego charakteru, pokrywa zawsze niesławą. Musiałem ci powiedzieć rzecz bardzo bolesną dla ciebie, moje biedne dziecię, ale wierz mi że i mnie bardzo przykro wyrażać się tak niekorzystnie o człowieku, który już zdał rachunek Bogu za swe przewinienia.

— A jeżeli jeszcze żyje, kuzynie Ulryku, rzekłam drżąc cała; jeżeli zgłosi się o mnie jako o swą córkę?

— Trudno nawet przypuścić aby tak być mogło, niepotrzebnie się więc niepokoisz, moje kochanie. Jednak i sir Lionel dla tego jedynie obawiał się wziąść cię do siebie; że nie był równie silnie jak ja przekonanym o śmierci twego ojca. Obawiał się zapewnie, aby pan Fleming nie zjawił się znów w Trampton, dowiedziawszy się że tam przebywasz, aby nie starał się z tego powodu wyciągnąć jakich korzyści dla siebie. Jakkolwiek to co powiedziałem dowodzi że dziadek twój nie jest wolnym od samolubstwa; nie jest to jeszcze dostatecznem do powstrzymania cię od zawiązania z nim stosunków rodzinnych, tem więcej że sam tego żąda. Widząc że przyszłość twoja jest już zapewnioną (kuzyn Ulryk mówiąc to zaczął się bawić palcami mojej lewej ręki), sir Lionel sądzi, że może okazać ci swoje przywiązanie, bez narażenia się na to aby być niegodnie wyzyskiwanym. Jeżeli chcesz mi zrobić przyjemność, będziesz się starała być dla niego miłą, uprzedzającą, i nie dozwolisz aby wyczytał z twej twarzy że czujesz do niego jakąś niechęć za dawniejsze z tobą postępowanie.

— Ale, kuzynie Ulryku, gdyby... gdyby kiedyś... ojciec mój wrócił.. aby upomnieć się o swoje prawa, czy i ty wstydziłbyś się mnie także? czy nie żałowałbyś danych mi przyrzeczeń.

— Jak też możesz zadawać mi podobne pytanie, Doro? Po co zresztą czynić tak nieprawdopodobne przypuszczenia, które cię tylko niepokoją niepotrzebnie. Możesz być przekonaną że ojciec twój już spoczywa w grobie, bo jakkolwiek nie mamy pewnych wiadomości o jego śmierci, wszystko każe nam się domyślać że już nie żyje; dla tego chciałbym abyś pozbyła się wszelkiej obawy, i była równie pewną jak ja że ci już nie może szkodzić.

Przytuliłam się do jego ramienia, ale nie miałam odwagi spojrzeć na niego, i pomyślałam że byłoby lepiej gdyby nie wierzył w to tak głęboko że ojciec mój już zakończył życie. O! jakże pragnęłam wyznać mu wszystko, ale przypomniałam sobie moje przyrzeczenie i tę groźbę która mnie do niego zmusiła, i nie wyrzekłam ani słowa.

Ocknęłam się z zamyślenia kiedy uczułam jakiś obcy przedmiot na czwartym palcu mojej lewej ręki, którą kuzyn Ulryk trzymał jeszcze ciągle. Spojrzałam prędko coby to być mogło, i zobaczyłam pierścionek z brylantami, pierścionek tak piękny że nigdy nie śmiałabym sobie życzyć podobnego; brylanty były wielkie, a błyszczały tak silnym ogniem, i mieniły się wszystkiemi kolorami tęczy.

— A! jakże to piękne, kuzynie Ulryku, zawołałam. Jakież to pyszne dyamenty! doprawdy zbyt piękne dla mnie. Ale czy to rzeczywiście dla mnie?

— Bezwątpienia, moje kochanie, jeżeli tylko zechcesz je przyjąć.

— Cóż ja mogę ci dać w zamian, kuzynie Ulryku?

— Zapewnienie niezłomnej wierności, drogie moje dziecie; nic więcej nie żądam, odpowiedział mi głosem tak wzruszonym że było w nim czuć jakiś odcień boleści.

Przyszło mi na myśl że musiałam zrobić mu przykrość okazując niechęć do mego dziadka, i zawołałam:

— Pojadę do Trampton, kuzynie Ulryku, i przez cały czas mojego tam pobytu będę się starała postępować tak abyś był ze mnie zadowolnionym.

— Wiedziałem że dobre z ciebie dziecko, rzekł z uśmiechem, i że po chwili zastanowienia rzecz ta przedstawi ci się we właściwem świetle. Wiesz, Doro, że będziesz zajmować niepoślednie stanowisko w Rockborough, i nie chciałbym aby świat mógł powiedzieć że żona moja pozostaje w złych stosunkach ze swą rodziną.

Wzmianka o tym nierozerwalnym związku który miał wkrótce połączyć nas z sobą wywołała gorący rumieniec na moje lica. Dziwna rzecz, że pomimo mej szczerej miłości dla mego opiekuna, pomimo że byłam dumną z tego że jestem jego narzeczoną, rzadko kiedy sięgałam myślą w przyszłość, i czułabym się szczęśliwą gdyby teraźniejszość nie zmieniła się dla mnie nigdy.

Być jego narzeczoną; nosić od niego pierścionek zaręczynowy; mieć prawo odrywać go od pracy (z którego też korzystałam ażnazbyt często). Czuć uścisk jego ręki, słyszeć z ust jego najtkliwsze, najsłodsze nazwy, było dla mnie szczęściem prawdziwem, doskonałem, i nie żądałam już nic więcej. Wiedziałam bezwątpienia że tak zawsze nie będzie, że zostanę żoną Ulryka, że przyjdzie czas w którym nazywać mnie będą *misstres Ford* (jakże to dziwnie brzmi w uszach); że miejsce tego pierścionka tak błyszczącego na moim palcu, zajmie skromna ślubna obrączka, ale nie było to nigdy przedmiotem moich rozmyślań, i może dla tego każda wzmianka kuzyna Ulryka o naszym przyszłym związku, w takie wprawiała mnie pomięszanie, że przez wzgląd na mnie unikał tego o ile możności. Teraz już zrozumiałam że powodem tego pomięszania, tego jakiegoś wstydu, było moje gorące przywiązanie do niego.

Być jego rozpieszczonem dzieckiem, biedz na jego zawołanie, otworzyć mu drzwi kiedy wracał do domu, a potem ukryć się za niemi, wszystko to były przyjemności do których już przywykłam które mi przypominały moje najszczęśliwsze lata dziecinne, tylko teraz uszczęśliwiała mnie głównie ta myśl że mam prawo sprzeciwiać się lub przymilać memu opiekunowi ile razy zechcę, i czuć że te wszystkie moje figle i pieszczoty uszczęśliwiają go także. To wszystko nie oswajało mnie, jak to łatwo zrozumieć z tą myślą że zostanę jego żoną, widziałam w tem jakieś dziwnie uroczyste przeobrażenie, czułam się niegodną zająć tak wysokie stanowisko.

Musiałam wydawać się w owym czasie memu opiekunowi bardzo jeszcze dziecinną, bo przypominam sobie że ile razy rozmowa nasza zwracała się na jakiś przedmiot poważniejszy, lub jeżeli uczucie jego odrzucając na chwilę te tak miłe dla mnie dzieciństwa i niedorzeczności, zbliżało się trochę do tej palącej rzeczywistości zwanej miłością, stawałam się nagle nieśmiałą, lękliwą, i odsuwałam się od niego. Chciał mnie podnieść abym stanęła na równi z nim pod względem umysłowym i moralnym, pragnął abym postępowała i czuła jak kobieta, a nie jak dziecko, gdy ja tymczasem przyzwyczajona czcić go i szanować jak istotę wyższą odemnie, nie przypuszczałam tego aby jakaś równość mogła istnieć między nami. Dopóki bawił się ze mną, jak rodzice bawią się z rozpieszczonem dzieckiem, wszystko szło jak najlepiej, ale jeżeli żądał odemnie więcej powagi i zastanowienia, przejmowała mnie jakaś dziwna trwoga i nie umiałam zastosować się do jego życzenia.

— Doro, czy jesteś pewną że mnie kochasz rzeczywiście? zapytał pewnego dnia niespokojnie. Czy rozumiesz do czego się zobowiązałaś przyrzekając że przepędzisz całe życie obok jednej osoby?

— A! kuzynie Ulryku! cóż ja takiego uczyniłam lub powiedziałam coby ci dozwoliło powątpiewać o mnie? odpowiedziałam patrząc na niego z takiem uwielbieniem, że musiał uwierzyć w moje nieograniczone do niego przywiązanie. Ale jeżeli znów kiedyś rzucił jakąś myśl poważniejszą, wspomniało naszej przyszłości, czułam się zatrwożoną jakby mnie chciał postawić nagle na wysokości na której nie umiałabym się jeszcze utrzymać. Nie raz w takim razie odzywał się do mnie z westchnieniem:

— Nie masz jeszcze żadnego pojęcia o miłości, Doro, jesteś jeszcze prawdziwem dzieckiem.

Zasmucały mnie te jego słowa, ale nie wiedziałam co mam czynić aby nie zasługiwać na nie więcej. Byłam szczęśliwą i dumną z jego miłości dla mnie, ale jak widać zbyt jeszcze młodą abym mogła zrozumieć jej wielkość i głębokość, można mnie było przyrównać do dziecka bawiącego się kosztownym pierścieniem z brylantami, które cieszy się wprawdzie że zabawka błyszczy się tak pięknie, ale nie myśli wcale o jej rzeczywistej wartości. Ja tak samo cieszyłam się miłością kuzyna Ulryka. Czując się szczęśliwą chciałam korzystać z teraźniejszości, nie wątpiąc że zawsze tak będzie. Zdaje mi się że to dziecinne moje usposobienie musiało nie

pokoić i zasmucać mego narzeczonego, że może zadrżał nie raz pomyślawszy że zobowiązał się zaślubić dziewczynę tak nierozsądną i ograniczoną.

Nadszedł nakoniec dzień naszego wyjazdu do Trampton, a jakkolwiek odebrałam od babki bardzo miły list, powtarzający zaproszenie przesłane mi poprzednio za pośrednictwem kuzyna Ulryka, obawiałam się bardzo tego spotkania z osobami połączonemi ze mną tak blizko związkami krwi, a dla których jednak byłam nieznaną i obcą. Tak prosiłam, tak błagałam kuzyna Ulryka aby mi nie kazał jechać samej z kuzynką Maryanną, aby mnie sam przedstawił w Trampton, że biedny mój opiekun pracował bez wytchnienia, nad siły, przez całe rano, aby mógł przepędzić ze mną pierwszy wieczór w Trampton.

Wyjechaliśmy w wesołem usposobieniu; kuzynka Maryanna nie była w gorszym humorze jak zwykle, a kuzyn Ulryk był tak swobodnym i ożywionym, jak nie widziałam go jeszcze nigdy. Pokazywał mi posiadłości znajdujące się koło drogi, wymieniał nazwiska ich właścicieli, dodając do niektórych dowcipne żarty i uwagi. Śmiał się szczerze a łatwo się domyśleć że nie dozwoliłam się wyprzedzić, ale zbliżając się do celu naszej podróży zamilkliśmy oboje: myślałam o mojej biednej matce, i czułam że mój narzeczony myśli także o niej. Położyłam w milczeniu moją rękę na jego dłoni, nie dla tego aby przerwać jego marzenia, ale chcąc mu okazać że odgadłam jego myśli, i że mnie to cieszy że myśli nasze spotkały się z sobą. O! jakże miłym i tkliwym uśmiechem odpowiedział mi na to, z jaką czułością droga jego ręka uścisnęła moją; ten uścisk spojrzenie i uśmiech mówiły mi że miłość moja wynagradza mu szczodrze to wszystko co dawniej utracił.

Jakże wielką sprawiło mi to radość że zostałam tak prędko i tak dokładnie zrozumianą; pierwszy to raz od dnia naszych zaręczyn potrafiłam stanąć na równi z kuzynem Ulrykiem.

Nie mogę powiedzieć aby wiadomość że mój drogi opiekun kochał niegdyś moją matkę, była dla mnie przyjemną; nie dla tego abym miała być zazdrosną o tę tak mi drogą a nieszczęśliwą ofiarę spoczywającą samotnie na cmentarzu w Saltpool, o! nie, tylko obawiałam się niekiedy abym nie wydała się kuzynowi Ulrykowi bardzo ograniczoną i niesforną w porównaniu z moją śliczną i kochaną matką.

Wnosząc z tych śladów piękności które ja jeszcze widziałam, musiała być bardzo piękną i powabną, a w rysach moich było coś obcego co nie dozwalało im być wiernem odbiciem jej arystokratycznej piękności. Prócz tego była zawsze tak prawdzie wielką damą, uprzejmą, łagodną, spokojną, mówiła tylko głosem umiarkowanym i pełnym słodyczy, a tak ją raził głos krzykliwy i gminne wyrażenia; a chociaż nie poczuwam się do tego ostatniego przewinienia, nie mogę zaprzeczyć że byłam i jestem jeszcze zbyt żywą, niesforną, i nie dość ogłędną w wyrażeniach.

Nie raz, kiedy kuzyn Ulryk patrzył na mnie, zadawałam sobie w myśli pytanie czy wolałby abym była inną jak jestem, lub podobniejszą jeszcze do tej którą kochał tak bardzo. Ta myśl tak na wet utkwiła mi w głowie, że pewnego dnia prosiłam go aby mnie objaśnił pod tym względem i powiedział, czy kocha mnie tylko dla tego że mu przypominam moją matkę. Odpowiedź jego była tak jasna i wyrażała tak szczere dla mnie uczucie, że uspokoiła mnie zupełnie.

— Kochałem matkę twoją, Doro, bo nie znałem ciebie, a jeżeli teraz nie zapomniałem o niej to dla tego jedynie że pozostawiła mi istotę stokroć dla mnie droższą niżeli ona była kiedyś.

Tak więc, tylko przez współczucie dla przeszłych jego cierpień, wsunęłam moją rękę w rękę kuzyna Ulryka; i drogi mój opiekun zatrzymał ją dopóki nie stanęliśmy przed drzwiami. Jakże piękny był ten pałac w którym urodziła się moja matka, i z którego, niestety! wygnało ją na zawsze jej nieszczęśliwe małżeństwo.

Odźwierny zadzwonił gdy wjeżdżaliśmy do parku, i dwóch lokai czekało już na nas kiedy zatrzymaliśmy się przed wspaniałym peronem, wiodącym do obszernej sieni. Idąc przez nią wyciągnęłam znów rękę do kuzyna Ulryka, ale roześmiał się i odsunął ją lekko.

X.

Dalszy ciąg pamiętnika Dory.

Zdaje mi się że i kuzynka Maryanna nie miała wcale ochoty wyjechać na dłuższy czas do Trampton. Zostawała wprawdzie w najlepszych stosunkach z wujem i wujenką, ale zawsze z przykrością oddalała się choćby na parę dni z domu, a teraz przykrość ta stawała się tem dotkliwszą, że musiała ją znosić dla mnie. Była przekonaną że w czasie jej nieobecności największy nieład zakradnie się do domu, pomimo że większa część służących już od kilkunastu lat zostawała pod jej rozkazami. Powtarzała ciągle że skoro ona odjedzie brat jej nie będzie miał nigdy dobrze przyrządzonego obiadu; słowem że bez niej wszystko pójdzie źle i opacznie. W końcu do tego stopnia znudziła kuzyna Ulryka, że zapytał jej czy rzeczywiście jest przekonaną że umarłby z głodu w razie gdyby ona nie urodziła się wcale. Ale był jeszcze inny powód utrzymujący kuzynkę Maryannę w ciągłem rozdrażnieniu, to jest znaczne wydatki na uzupełnienie mojej toalety stosownie do życzenia kuzyna Ulryka. Od pierwszej chwili mego pobytu w jego domu, była to kwestya wywołująca liczne sprzeczki między nim i jego siostrą; miss Ford chciała mnie ubierać w suknie perkalikowe lub z lindsay wolslay, on życzył sobie abym nosiła najkosztowniejsze muśliny, najpiękniejsze materye. Nie byłam nigdy wystrojona, ale wszystko co miałam na sobie musiało być zawsze w najlepszym guście, co; jak utrzymywała kuzynka Maryanna, wywoływało złośliwe uwagi w całem mieście.

Nie trzeba z tego wnosić że opiekun mój sam wybierał materye na moje suknie lub okrycia; bynajmniej, nie należał, on do rzędu ludzi znajdujących upodobanie w zajęciach kobiecych, tylko jeżeli kuzynka Maryanna kupiła dla mnie coś takiego co mu się zdawało brzydkiem lub niewłaściwem, oświadczył jej wyraźnie że nie pozwala abym to włożyła na siebie, nie chcąc więc marnować pieniędzy brata musiała się stosować do jego woli.

Możnaby także wnosić z tego co powiedziałam że garderoba moja była tak dobrze zaopatrzoną, że wyjeżdżając na parę tygodni do Trampton, nie potrzebowałam czynić żadnych wydatków. ale kuzyn mój nie podzielał tego przekonania; i nie mogłam wyjść z podziwienia patrząc jak kosztowne robi do niej dodatki: doprawdy byłam gotową oburzać się wraz z kuzynką Maryanną taką rozrzutnością mego ukochanego opiekuna. Suknie z indyjskiego muślinu pokryte koronkami, lub też z kosztownych materyj, zrobione pierwszy raz podług najświeższej mody, to jest z długiemi trenami, przez co zdawałam się wyższą jeszcze i starszą o kilka lat. Najpiękniejsze rękawiczki, najwykwintniejsze obuwie, wstążki w różnych kolorach i odcieniach, słowem, mnóstwo dodatków uzupełniających toaletę kobiety, leżało w moim pokoju, przygotowane do pakowania. Jednocześnie, toaleta kuzynki Maryanny powiększała się na równi z moją.

Jednak milszemi dla mnie nad te wszystkie stroje, były podarunki które kuzyn Ulryk sam mi przynosił, brosze, naszyjniki, bransolety, których wartość podwyższało stokrotnie jakieś spojrzenie, jakieś słówko zdradzające jego głębokie przywiązanie do mnie, przez co stawały się dla mnie drogiemi pamiątkami. Czemże w porównaniu z nimi były suknie, okrycia i kapelusze, które jeden deszcz mógł zniszczyć zupełnie? Byłam mu i za nie wdzięczną, i teraz jeszcze nie mogę wspomnieć bez rozczulenia o tych dowodach jego przywiązania do mnie. Ale jeżeli mi przyniósł szmaragdy, mówiąc że je wybrał dla tego że będą odbijać pięknie przy tak białej płci jak moja, lub też perły, ponieważ, jak mówił, jestem równie czystą i niewinną jak te białe córy morza, wtenczas zdawało mi się że każden z tych podarków przemawiał do mnie, mówił mi o nim i jego miłości; widziałam w nich dowody szlachetności i dobroci jego serca, delikatności jego uczuć, i nieustannej o mnie pamięci, i przez to nabierały dla mnie tak nieocenionej wartości, że nie chcąc rozłączać się z nimi ani na chwilę, kładłam się spać w moich bransoletach i naszyjnikach. Teraz często zadaję sobie pytanie, coby też pomyślał o mnie gdyby się był dowiedział do jakich dziwacznych niedorzeczności doprowadzały mnie jego podarunki.

— Panno Teodoro, rzekł do mnie z udaną powagą, kiedy, jak to mówiłam, weszliśmy do przedsionka w Trampton, zechciej pamiętać o wysokiej godności jaką ci nadaje stanowisko mej narzeczonej, dzięki któremu przestępujesz próg tego domu.

— Kiedy się bardzo boję, szepnęłam.

Chcąc mnie ośmielić podał mi rękę; ale nie wiele to pomogło, bo zdawało mi się znów że prowadząc się pod ręcę wyglądamy zbyt poważnie. Służący doprowadził nas do drzwi biblioteki, i wyznaję że kiedy je otworzył, żałowałam bardzo że nie jestem jeszcze w Wessex-house, w moim pokoiku, a zadrżałam silnie gdy zameldował nas: Miss Ford! Miss Fleming! Doktór Ford! Wkrótce przekonałam się że obawa moja była nieusprawiedliwioną. Zastaliśmy w bibliotece dużo osób: wśród nich szukałam oczyma dwóch osób o których słyszałam tak wiele, i wzrok mój zatrzymał się na sędziwej parze siedzącej przy oknie. Starzec z białemi jak śnieg włosami, siedział w wielkim fotelu, obok trochę młodszej od niego damy, z czerstwą jeszcze twarzą i pełnemi życia oczami, która trzymała na kolanach jakąś wielkich rozmiarów robotę na drutach.

Przyznaję że zupełnie inaczej wyobrażałam sobie moją babkę, ale nie miałam czasu powątpiewać o jej tożsamości. Kiedy kuzyn Ulryk prowadził mnie do niej, zarumieniła się, potem zbladła, zerwała się z krzesełka, wpatrywała się we mnie bystro przez parę minut, a następnie zarzuciła mi ręce na szyję i zawołała głosem przytłumionym łzami.

— O! sir Lionelu, sir Lionelu, spojrzyj tylko, spojrzyj!

(d. c. n.)

Opis do N-ru 49.

(Dokończenie).

N. 11. Suknia z przemarszczanym stanikiem.

Stanik przedstawiony na ryc. 11 ma przody i plecy przemarszczane drobniutko na ramionach, w około szyi i na wcięciu stanu; oryginalną również jest baskina przy plecach podcięta okrągławo i oszyta marszczoną falbanką. Na przemarszczenie w około szyi materyał bierze się skośnie; takie odrobienie odpowiednie jest do miękkich materyałów wełnianych lub jedwabnych. Długa tunika z boków założona w fałdy, z tyłu dopełniona prostym, wcale nie podpiętym brytem, prawie zupełnie przysłania suknię, zakończoną falbaną, nad którą dane kilka rzędów drobniutko przemarszczanych bufek.

N. 14—16. Serweta ze szlakiem wyszytym krzyżykami i ściegiem jednakowym na dwie strony oszyta frendzlą wiązaną.

Środek serwety liczy 48 cent. szerokości a 46 długości; na frendzlę wiązaną wprost z wysiepanych nitek, trzeba naddać 20 cent. z każdej strony. Szlak wyszyty jest jedwabiem czarnym i ponsowym podług ryc. 16; jedwab trzeba sparzyć w ukropie przed użyciem. Rycina 15 załącza sposób wiązania frendzli i wskazuje część tła z płótna kanwowego. Nagłówek frendzli wiązany w węzły, z których każdy wymaga dwóch promieni, liczących po pięć nitek: *a* oznacza przewiązanie węzła, *b* uczy jak pogrubić frendzlę oddzielnym promieniem złożonym z wysiepanych nitek i przewleczonych nad przewiązaniem danem pod węzłami ostatniego rzędu, *c* wskazuje kwaścik już związany. Każdy kwaścik ozdobiony jest ośmioma oddzielnemi krótkiemi promieniami, dowiązanemi z nitek wysiepanych i z kolorowego jedwabiu; każdy promień liczy dwie nitki, jak to wskazuje niedokończony kwaścik pod literą *d*. Nad frendzlą wyszyty szlaczek ściegiem luźnym.

N. 17—18. Serwetka na mały stoliczek, na meble lub t. p.

Liczy w kwadrat bez koronki 37 centym. i składa się z kwadratów ponsowych i granatowych, wyszytych ściegiem krzyżowym i z wszywek białych tiulowych wywodzonych kolorem ponsowym i granatowym, ściegiem gobelinowym, podług ryc. 18. Każdy kwadracik liczy 7½ cent.; granatowe są z płótna, ponsowe ze szwajcarskiego perkalu; szlaczki z trzech ściegów otaczające gwiazdkę środkową przytrzymują brzegi obrąbków. Na tle granatowem dane wyszycie ponsowe, różowe i białe, na ponsowem dwoma cieniami granatowemi i białe. W miejscach gdzie wszywki się krzyżują, można spodnią wyciąć i mocno brzegi zakończyć.

N. 19 i 13. Serwetka z wyszyciem krzyżykowem.

Rycina 19 przedstawia małą serwetkę od garnituru, w deseń adamaszkowy, z wyszyciem kolorowem; ryc. 13 wskazuje część szlaczka w naturalnej wielkości, wyszytego bawełną Nr 40, kolorem ponsowym, żółtym i dwoma cieniami niebieskiemi.

N. 20 i 26—27. Taśma do wiązania bielizny.

Taśma przeznaczona do wiązania tuzinów bielizny, ozdobiona jest wyszyciem kolorowem na tiulu grosbetowym; dwa wzory wyszycia dają ryc. 26—27. Skończoną robotę podszywa się kolorową podszewką a brzegi odzierguje w około; do wiązania dodane końce ze wstążki lub taśmy.

N. 21. Kapa na łóżko. Wyszycie krzyżykowe i kratka ażurowa.

Model był z białej kanwy jawa, naprzemian w pasy kratki ażurowej, 6 cent. szerokości; w pasy z wyszyciem krzyżykowem 12 cent. szerokie. Dla ułatwienia roboty kapa składa się z dwóch części w pasy poprzeczne, złączonych w środku pasem podłużnym, z wyszyciem i kratką ażurową. Deseń wyszycia krzyżykowego dobiorą czytelniczki w tegorocznych N-rach Tygodnika. Pod skończoną kapę daje się podszewkę z kaszmiru, materyi lub żagnotu; brzegi oszywa frendzla 9 cent. szeroka.

N. 22 i 12. Kapa ozdobiona haftem.

Dla braku miejsca nie możemy załączyć pięknego desenu w naturalnych rozmiarach, ale czytelniczki umiejące rysować potrafią ułożyć go i przerobić z maleńkiego wzoru ryc. 22. Za tło służy grube płótno, a do haftu użyta gruba bawełna w dwóch cieniach niebieskich. Kontury desenu dają się ściegiem łańcuszkowym lub sznureczkowym, środki zaś liści, kwiatów i arabesek zapełniać można różnorodnemi ściegami, jakich wzory znajdują się w Tygodniku. Dla ułatwienia roboty kołdra zszywa się z oddzielnych pasów i dodaje szlak w około; na szwach dane wyszycie ściegiem luźnym, wskazane na ryc. 12. Po za szlakiem dana koronka nićiana lub szydełkowa 6 cent. szeroka.

N. 23 i 33. Serweta z haftem renaissance.

Patrz ryc. 13 i 28 w N-rze 48.

Model liczył 98 cent. szerokości a 175 długości i był z materyi surah koloru bordeau (pod materyę podłożona sztywna cambric) na podszewce białej jedwabnej; haft wykonywa się pełą, bo ta najlepiej tło pokrywa i najgładziej się układa, łatwiej jednak haftować filozelą dzieloną po 2 lub 3 nitki. Gładko i równo można haftować jedynie w krosienkach. Ścieg renaissance opisywaliśmy w przeszłym roku, powtarzamy tu opis dla nowych prenumeratorek. Potrzeba najpierw przeciągnąć nitki podłużne, tak jak do płaskiego haftu, z tą różnicą, iż nitka nie przechodzi pod całą robotę od lewej strony, lecz jest małym ściegiem przeprowadzona do wierzchu, podług ryciny 23 w N-rze 48. Po skończeniu jednej cząstki desenu (listka arabeski lub t. p.) przewlóczą się nitki poprzeczne przytwierdzane małemi ścieżkami, które stanowią główne przyozdobienie roboty, gdyż zdają się tworzyć jakiś oryginalny rodzaj ściegu. Na modelu nitki podłużne, poprzeczne i drobne ściegi były w jednym kolorze, kontury zaś desenu obwiedzione były podwójnie wziętą nitką złotą, przyszywaną poprzecznemi żółtemi ściegami. Niektóre arabeski były całe wyszyte nitką złotą z dodaniem tylko małych ściegów kolorowych, a obwodzenie przy nich dane złotym sznureczkiem.

Rycina 13 w N-rze 48 załącza deseń szlaku danego z brzegów podłużnych, z poprzecznych zaś stron prócz szlaku odrobione są zęby podług ryc. 23 w N-rze 49. Kolory użyte były: oliwkowo zielony, pomarańczowy, łososiowy, niebieski do eieniu, różowy, heliotropowy. Brzegi serwety oszyte w około wąziutką tersadką złotą; deseń na rzut zdobiący tło serwety podamy w dalszych N-rach.

N. 24. Kołnierz chusteczkowy z koronką.

Uszyty z atłasu bordeau, ma brzegi ozdobione haftem płaskim i wyszyciem tamborkowem, jedwabiem białym i nitką złotą. Kokarda ułożona w ten sposób iż naśladuje rogi związanej chusteczki; do oszycia brzegów służy koronka 7 cent szeroka.

N. 25. Kołnierz pluszowy.

Jest formą maleńkiej pelerynki, uszyty z niebieskiego pluszu na podstawie ze sztywnego tiulu; brzegi oszyte wąziutką koronką. Koronka 4 cent szeroka otacza wykrój szyi i układana w kontrafałdy na podstawie tiulowej, tworzy rodzaj plastronu, 18 cent. u dołu, 5 centym. u góry szerokiego.

N. 28. Ekran w kształcie chorągiewki.

Umocowany na postumencie żelaznym lub drewnianym, złoconym czy rzeźbionym, liczy 142 cent. długości a 90 cent. szerokości; haft odrobiony filozelą dzieloną po dwie nitki, w kolorze ponsowym w czterech cieniach, niebieskim i fijołkowym w trzech, złotawo bronzowym w dwóch, różowym w czterech i zielonym w dwóch cieniach; na tło użyty atłas oliwkowy lub vieil-or. Brzegi ekranu oszyte sznurem jedwabnym, takiż sznur z kwastami przewiązany jest przy osadzie chorągiewki.

N. 29. Żabot.

Ułożony jest z ciemnej szkockiej materyi surah i składa się z pukla 12 cent. szerokiego a 22 długiego i dwóch końców nie równych na które potrzeba dwóch trójkątów: jeden liczy 22, drugi 10 cent. z brzegów prostych i oszyte są koronką 6 cent. szeroką, daną również z jednego brzegu pukla. Na węzeł środkowy trzeba kwadratu 12 cent. długiego.

N. 30. Naszyjnik z kwiatów.

Naszyjnik ten musi być włożony przy sutej krezie z crepe-lisse, od której bardzo efektownie odbija. Model który przedstawia ryc. 30, składał się z fijołków bladych i ciemnych, ułożonych ściśle w ten sposób, iż jasne szły w górnym rzędzie, ciemne w dolnym. Kokarda ozdobiona również kwiatami ułożona ze wstążki blado lila 2 cent. szerokiej.

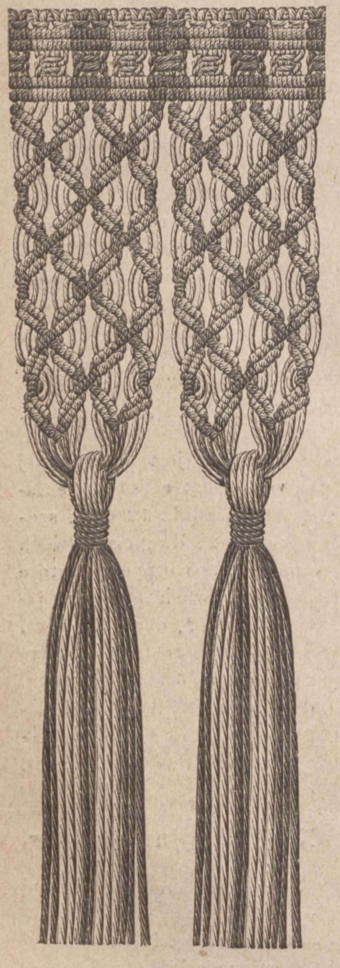


N. 1. Suknia strojna wizytowa zdobna haftem. Patrz ryc. 22 i 23.   N. 2. Suknia z tuniką i stanikiem z baskiną.



N. 34. Kapelusz zdobny piórami.

Szerokie rondo bronzowego filcowego kapelusza obszyte jest bufowanym aksamitem; z jednego boku główki dane przewiązanie z atłasowej wstążki, z drugiego przypięte fantazyjnie dwa duże strusie pióra, z których jedno spuszczone w połowie za rondo. Kapelusz ten odpowiedni tylko dla młodej osoby.



N. 5. Frendzla do ryciny 6.

N. 35. Kapotka zdobna kokardą.

Kapotka pokryta czarnym aksamitem, ma z przodu rondko trochę odstające i podpięte rzędem dużych złotych kulek; zwierzchnie przy branie stanowi atłasowa wielka kokarda; do związania barbki koronkowe.

N. 36. Sukieneczka formą bluzy, dla małej dziewczynki.

Odrobiona z materyału gładkiego i w paski, wszyta jest w karczek zbliżony formą do marynarskiego kołnierza, przy którym, jak również w pasie jest kilkakrotnie przemarszczona. Długość bluzy dopełniona jest skośnym wolantem 10 cent. szerokim; szarfa liczy 165 c. długości a 20 szerokości.

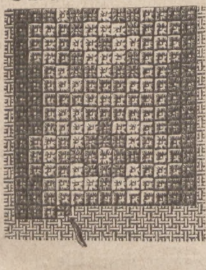
N. 3. Haft z podłożeniem wstążki, odpowiedni na serwetę.



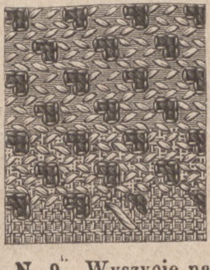
N. 4. Koronka szydełkowa.



N. 8. Szlaczek wyszyty w gwiazdki ściegiem jednakowym na dwie strony do ryciny 39



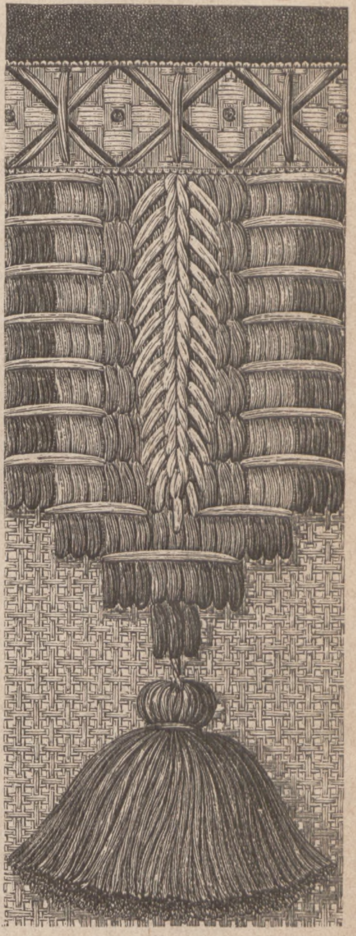
N. 6. Ręcznik ozdobiony szlakiem i frendzlą.



N. 9. Wyszycie na kanwie.

N. 37 i 40. Paletocik szydełkowy dla małego dziecka. Patrz ryc. 3 w N-rze 48. Krój na arkuszu z krojami do N-ru 46 i 47 pod N. XI, Fig. 64 — 66.

Ażeby paletocik dobrze leżał, potrzeba wykroić formę, dopasować podług wzrostu i robotę od czasu do czasu do niej przykładać. Paletocik ten odrobiony z białej włóczki angielskiej, deseniowym tunetańskim ściegiem podług ryc. 3 w N-rze 48. W ściegu tym jedno o. nabiera się jak zwykle (w rzędzie od ręki prawej ku lewej) przewłócząc pentelkę, przed drugiem zaś trzeba najpierw nitkę narzucić na szydełko a potem przez oczko przewlec, w kierunku strzałki na ryc. 3. Przody i plecy robią się w jednym ciągu i zaczynają od dolnego brzega. Fig. 64 daje lewą połowę paletocika z częścią przodów zachodzącą na wierzch, drugą połowę robi się od dwukropka w kierunku



N. 7. Szlak na kanwie Aida do ryc. 13 w N-rze 52.



N. 10. Malowanie na drzewie do ryc. 41 w N. 52.

od wrotnym. Przybranie zaczyna się w 12 rzędzie i powtarza się wzdłuż prostej gładkiej linii (na formie) ośm razy w odstępach po 5 rzędów; na dziurki przerabia się łańcuszkowe oczka w ciągu roboty. Po przerobieniu fałdowanej części pleców trzeba górną część gładką zacząć na nowo od łańcuszka i robić dalej, podług Fig. 64 pasując wykrój pachy, ramiona i wykrój szyi. Rękawki i kapturek zaczynają się od dolnego brzega podług Fig. 65 do 66. Skończywszy paletocik łączy się go szwami od strony lewej a zbywającą z tyłu szerokość składa w trzy kontrafałdy, na przyszyciu których dana patka szydełkowa 13 cent. długa a 3 szeroka. W kapturek zszyty od punktu do krzyżyka daje się podszewkę jedwabną białą lub kolorową. Przyozdobie paletocika stanowi szlak z kulek robiony w ramach, jaki widzimy na ryc. 3.



N. 12. Wywodzenie na tiulu, do ryc. 13.



N. 11. Malowanie na drzewie do ryc. 41 w N. 52.

N. 38. Naszyjnik dżetowy.

Przy wysokich riuszach z crepe-lisse lub koronki potrzeba koniecznie opaski lub naszyjnika, bo inaczej łatwo rozrzucają się i opadają. Ulubione dawniej kolorowe wstążki lub aksamitki, zastąpione są obecnie naszyjnikami różnego rodzaju wyrabianemi z metalów, kamieni, dżetu albo nawet z kwiatów. Ryc. 38 przedstawia pięknie szlifowany błyszczący dżetowy naszyjnik.



N. 15. Żabot z materyi surah.



N. 13. Okrycie balowe wywodzone na tiulu.



N. 14. Okrycie (entré de bal z hiszpańskiej koronki. Patrz ryc. 26



N. 16. Żabot z crepe de Chine.



N. 17. Mufka z woreczkiem.



N. 18. Mufka kieszonką.



N. 20. Ubranie balowe ze stanikiem bawetowym. Patrz ryc. 21.



N. 21. Ubranie balowe ze stanikiem bawetowym. Patrz ryc. 20.



N. 19. Mufka atłasowa.



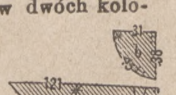
N. 22. Suknia strojna wizytowa zdobna haftem. Patrz ryc. 1 i 23.



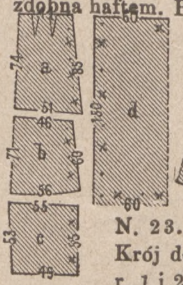
N. 24. Kamasz z sukna w dwóch kolorach.



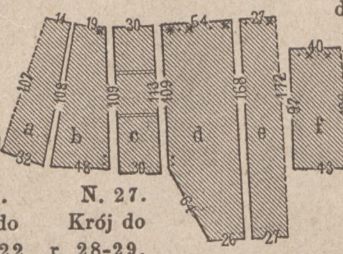
N. 25. Bucik okładany skórą i futrem.



N. 26. Krój do ryc. 14.



N. 23. Krój do r. 1 i 22.



N. 27. Krój do r. 28-29.



N. 28. Suknia z trenem, Patrz lewą stronę na ryc. 29, krój na ryc. 27. Odpowiedni stanik na ryc. 1, tudzież 31 i 32 w N. 52.



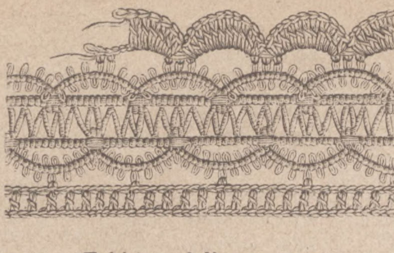
N. 30. Malowanie na drzewie do ryciny 40 w N-rze 52.



N. 29. Lewa strona sukni z trenem ryc. 28 poszytej wspaniałą balejezą. Krój patrz ryc. 27.

N. 39. Czepeczek dla młodej kobiety. Patrz r. 36 w N-rze 48.

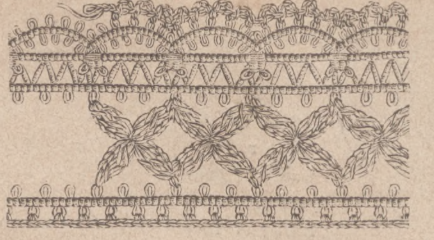
Czepeczka podstawkę stanowi pasek sztywnego tiulu 28 cent. długi, w środku 5, w końcach 3 centym. szeroki, do którego przyszyty półokrągły kawałek tiulu, 9 cent szeroki 21 długi. Czepeczek upięty jest z szalika tiulowego w rzucik, 120 cent. długiego, 25 szerokiego, oszytego z brzegów nadmarszczoną koronką, 7 cent. szeroką. Sfałdowanie szalika na główce i wachlarzowe ułożenie koronki na długo spuszczonych końcach wskazuje rycina 36 w N-rze 48; z przodu nad koronką opasana kolorowa wstążką.



N. 31. Ząbki szydełkowe dorobione przy torsadce.



N. 33. Toczek formą czapki.



N. 32. Ząbki szydełkowe z mignardise.



N. 34. Suknia z upięciem na spódnicy i stanikiem z baskiną.

N. 41. Paletocik z pelerynką dla małej dziewczynki.

Krój dopasować można podług podanych na poprzednich arkuszach; za materyał służy ciemno piaskowy kort; wypustka z bronzowego jedwabnego repsu stanowi przybranie, takiż z kwastami sznur związuje kołnierzyk.

N. 42. Sukieneczka princesse podpięta z przodu à panier.

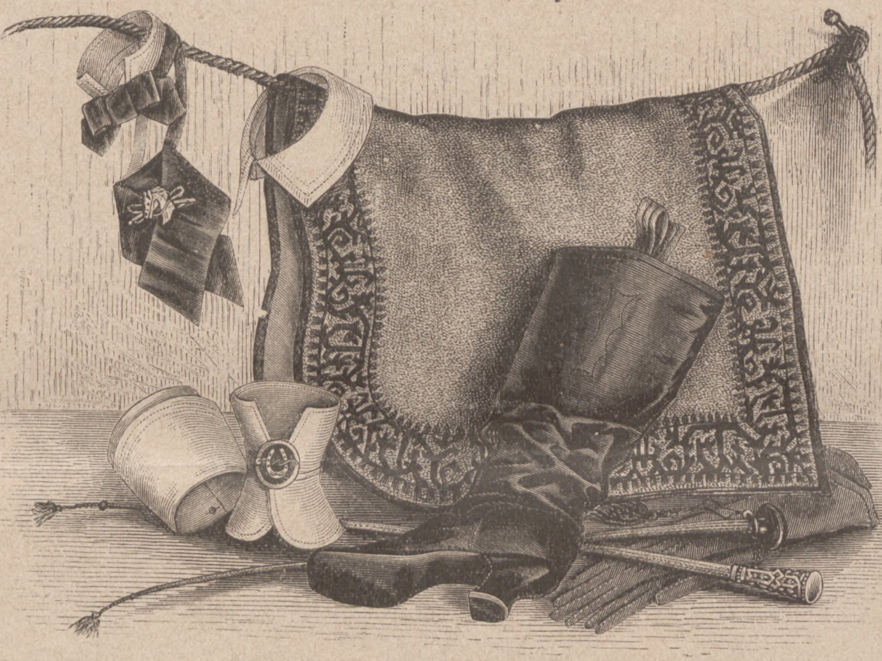
Odrobiona z granatowego kaszmiru ma przody poniżej panier dopełnione aksamitem, takiż kołnierzyk marynarski i mankiety. Przyozdobienie stanowią sznury jedwabne dodane przy fałdowanych plecach podług ryc. 42.

N. 43. Sukieneczka princesse dla małej dziewczynki.

Uszyta z materyału wełnianego w szkocką kratkę; wzdłóż zapięcia przodów założone są fałdy; u dołu sukienki falbany plisowane 30 cent. szerokie. Kołnierzyk podwójny oszyty i związany sznurem jedwabnym.



N. 35. Suknia z potrójną draperyą.



N. 36 — 37. Różne przybory do konnej jazdy. Patrz ryc. 49



N. 48. Serwetka z wyszyciem krzyżykowem.



N. 49. Szlak. Haft włoski odpowiedni do czapraka ryc. 47.